

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 31 (1819) • 1-7 sierpnia 2025



Przysięga
na jaja
str. 4

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE



**Za tydzień podwójny
numer tygodnika „NIE”
na Wniebowzięcie
Najświętszej Maryi Panny:
za podwójną cenę
dający 20 razy
więcej radości.**

WOJNA DOMOWA

▶ Jarosław Kaczyński ogłosił „Deklarację Polską”, która ma być odpowiedzią na „Deklarację Toruńską” Mentzena. Deklaracja prezesa składa się z 10 punktów, w którym jeden wzbudził w Konfederacji prawdziwą furję: „Nie dla nielegalnej imigracji, tak dla deportacji”. „Nie dziwię, że tylko przeciwko nielegalnej, bo za legalną to właśnie PiS odpowiada. A to właśnie legalna imigracja z państw odmiennych kulturowo jest teraz największym problemem!” – odparował Mentzen, nazywając Kaczyńskiego „politycznym gangsterem”. Wobec czego czynownicy PiS – z Czarnkiem na czele – ruszyli w media, żeby polemizować. „Jak ja byłem wojewodą lubelskim, to pod drzwiami urzędu stali farmerzy, którzy mieli pretensje, że tak powoli rozpatrujemy wnioski, bo nie było rąk do pracy, legalna imigracja zawsze jest potrzebna”... I tak to, dzięki faszolom z Konfy, pisowcy stają się otwarci na świat.

▶ Nie tylko zresztą w temacie migrantów. Pytany o ustawę o związkach partnerskich Czarnek ogłosił, że nie ma nic przeciwko: „Pierwszy podniosę za tym rękę, od dawna mówię, każde ułatwienie dla mnie jest absolutnie do przyjęcia, żeby każdy, kto chce, mógł upoważnić drugą osobę w sposób najprostszymi, żeby odwiedzała go w szpitalu, miała dostęp do informacji, żeby sprawy spadkowe osób prowadzących wspólne gospodarstwo domowe były dużo prostsze, niż są dzisiaj”... Kiedy red. Witwicki, nieco oszolomiony, odnotował, że rozmowa dobrze się toczy, Czarnek odrzekł pogodnie: „Z Przemasem się dobrze rozmawia”. Może wywiadzik dla „NIE”?

▶ Prezydent Duda przemówił – na szczęście po raz ostatni – na obchodach rocznicy powstania warszawskiego. Skrytykował głosy krytyczne i przeciwstawił je temu, kto o polskiej historii wie wszystko: „O tym właśnie praktycznie całe swoje wystąpienie wygłosił prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump pod pomnikiem Powstania Warszawskiego”. Po czym, zwracając się wprost do powstańców, przypomniał – a jakże – JP2, który „przywołał tego Chrystusa sprzed kościoła Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, który razem z Warszawą padł w czasie walki pod gruzami stolicy razem z powstańcami, po czym został podniesiony, tak jak przez was została podniesiona Warszawa”. Może uporządkujmy: powstańcy, z całym szacunkiem dla ich wzniosłego, acz zbędnego heroizmu, przyczynili się do zrównania z ziemią 84 proc. miasta. Warszawa „została podniesiona” przez Polskę Ludową i setki tysięcy jej obywateli, a decyzję podjął Józef Stalin. Bardzo czekamy, co za rok powie na ten temat doktor nauk historycznych Karol Nawrocki.

▶ Prezes Kaczyński, zapytany o polityczną przyszłość Andrzeja Dudy: „No, to jest jego sprawa, nie moja, na pewno miał tę wielką zaletę, że dwukrotnie wygrał wybory”. Zapytany o bilans dudziej prezydentury, uciekł jeszcze dalej: „Jeżeli chodzi o ocenę generalną, to trzeba troszkę poczekać, to jest kwestia, którą trzeba w odpowiedni sposób przemyśleć, ja w tej chwili nie jestem gotowy do tego rodzaju ocen”... Nie, żeby Prezes chował urazy.

▶ Na spotkaniu w Pabianicach Donald Tusk, zapytany o obiecywaną od lat ustawę o asystencji dla niepełnosprawnych, odparł szczerze, że kasy nie ma i nie będzie: „Muszę wam powiedzieć słowa prawdy o tym, co jest w tej chwili możliwe, kiedy ja mówię o tym priorytecie, jakim jest bezpieczeństwo”. Rząd Tuska wydaje na zbrojenia „80 mld zł, których w tej chwili nie mam na innego typu projekty”. Pomysł, żeby niepełnosprawni dalej zdychali w DPS-ach, bo Kosiniak-Kamysz musi mieć nowe zabawki na wojnę, której nie będzie, wzbudził poruszenie do tego stopnia, że dzień później premier poczuł się zobowiązany – jak to ujął – „rozbroić minę”, którą sam zmontował: „Powstało pewnie nieporozumienie, więc biję się w piersi, my oczywiście kontynuujemy pracę nad naszym projektem ustawy, jeśli chodzi o asystencję osobistą”. Po czym dodał: „Rozumiemy wszystkie potrzeby społeczne, od samego początku naszych rządów te dwie kwestie są dla nas absolutnie priorytetowe: bezpieczeństwo socjalne polskich rodzin i bezpieczeństwo w sensie dosłownym”. Rozumie my potrzeby społeczne? Bezpieczeństwo socjalne polskich rodzin? Pan Premier to jak sobie żartuje...

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Lipiec 2013 r.

Świętego Oliwiera

Na pastwiskach krowy tańczą poloneza. Sejm uchwalił zakaz uboju rytualnego. Wcześniej tylko świnię kochały Żydów.

Świętego Fryderyka

Duchowni wyznał antywieprzowych irytują się, że sejm zakazał uboju rytualnego. Przedstawiciele rządu tłumaczą, że będzie kosztowna wołowina na potrzeby nielicznych wyznawców. Rząd i komentatorzy to głupki niewiedzące, o co chodzi. Wspomniani duchowni zarabiają na wydawaniu certyfikatów, że ubój był rytualny, więc chodzi im – jak zawsze w sprawach religijnych – o pieniądze.

Świętego Oti

Mam 30 nowych samochodów miesięcznie. Każdej nocy, gdy usnę, auto, którego od lat nie mam, kradną mi albo rozbijają lub też gdzieś je zostawiam i nie znajduję. Następnej nocy mam nowkę i tracę ją w nowych okolicznościach. Motoryzacja jest męcząca. Co by dyrekcji snów szkodziło, gdyby we śnie padał koń, którego wałę?

Świętej Henryki

Zbliża się termin kolejnej rozprawy w procesie Donalda Tuska przeciw mnie o dowcip prima-aprilisowy „NIE”, który zachwiał możliwości sprawowania przez powoda funkcji Prezesa Rady Ministrów. Sprzyja to moim studiom nad obraźliwością osoby rządzącej tym krajem. Czytując część prasy pisowskiej redagowanej przez Sakiewicza i innych dziennikarzy nie-

zależnych, a to od rozumu, prawdy i umiaru. Tusk występuje tam jako obcy agent, sprzedawczyk, kłamca i nieudacznik oraz tchórz. To Tuska nie uraża. W każdym razie w stopniu pociągającym go do sądu, chociaż ocenia go współpracownik Kaczyńskiego mającego zamiar donaszać premierowskie garnitury reprezentacyjne. Jak z tego wynika, premiera obraża i utrudnia mu rządzenie jego kraikiem wyłącznie sugestią, że siedząc na stadionie wypełnionym hołotą, nie mówi do otoczenia językiem szambelana zwracającego się do królowej angielskiej.

Świętego Joela

Jak już gdzieś pisałem, w czasie wojny mieszkalem w południowo-wschodniej Galicji, gdzie naszej rodzinie groziło niemieckie ludobójstwo i ukraińskie rzezie etniczne. Na folwark, w którym papa buchalterzył, napadła UPA, ale on Ukraińców tak spił, że posnęli, zamiast rzezać. Otóż między ludobójstwem a tymi rzeziami była różnica. Upowcy z góry uprzedzali, co Polakom zrobią. Można było uciekać lub wzywać pomoc niemiecką albo też radzieckiej partyzantki. Miasta były bezpieczne. Po wkroczeniu armii radzieckiej to Polacy wskazywali, kto rzezał i należy go powiesić. Który zaś Ukrainiec tylko sympatyzował, zasłużył więc na Sybir. Odwet to nie był, więc nie tylko 20 tysięcy Ukraińców zostało zabitych przez wołyńską AK, ale i dziesiątki tysięcy, na których rewanz dokonał się, gdy byli prawie bezbronni.

Maniacy polskiej kresowości i rozliczeni po 70 latach niech lepiej cicho siedzą. Za przedwojnie i za powojnie to myśmy powinni przepraszać. Na tzw. kresach, czyli Ukrainie Zachodniej, toczyła się bellum omnes contra omnes.

Świętego Donalda

Trochę moich znajomych siedzi w domach wariatów, a reszta powinna. Sam się zresztą leczę, ale z wolnej stopy i nie osobiście. Mój wysłannik jeździ do psychiatry, płaci za wizyty i odbiera dla mnie receptę na dobre samopoczucie. Szczególne więzi łączą mnie ze szpitalem w Tworkach pod Warszawą słynącym tym, że na jego murze w epoce Stalina ciągnął się wielki napis „Jest nas milion, obronimy pokój”. Pasażerowie kolejki Warszawa – Pruszków czytali go codziennie przez lata. W roku 1956 do redakcji „Po Prostu” zadzwonił stamtąd pacjent, mówiąc, że jest zdrowy, a siedzi w Tworkach, gdyż to represja polityczna. Mój przyjaciel natychmiast pojechał do Tworek, gdzie ofiarę komunizmu wydano mu od ręki i chętnie. Kiedy jechali kolejką do Warszawy, wyzwoleniec pochwalił się, że mówi wszystkimi językami świata jednocześnie. I umiejętność tę głośno zaprezentował. Przyjaciel i jego podopieczny przesiedli się więc do kolejki jadącej z powrotem do Tworek.

12 lat później przyjaciel wraz ze swoją żoną sam trafił do Tworek na oddział nerwic prowadzony przez dr. Ledera. Zamknięte tam

już były dwie kobiety, z którymi byłem uprzednio związany. Psychoterapia grupowa kręciła się więc wokół moich podłych uczynków. Wreszcie dr Leder wezwał mnie do Tworek, proponując, żebym sam został pacjentem jako rozsądnik nerwic. Odtąd gdy przyjeżdżają po mnie z kaftanem bezpieczeństwa, mówię, że mnie nie ma w domu.

Świętej Notre Dame du Mont-Carmel

O wariatach mogę więcej. Dawnymi laty, gdy pracowałem w tygodniku „Polityka”, zadzwoniła do mnie pacjentka ze szpitala dla czubków. Mam przyjechać, bo potrzebuje mojej pomocy „w sprawie życiowej”. Jeśli nie stawię się do północy, popelni samobójstwo. Nie wiedząc, co czynić, zadzwoniłem do psychiatry prowadzącej. Ta powiedziała pacjentce, że ona wkrótce wyjdzie ze szpitala i że Urban oczekuje jej w redakcji. Rzeczywiście przyszła całkiem na oko normalna pani. Chodziło o to, że ówczesna wiceprezydent Warszawy Kartasińska obiecała jej mieszkanie i nie dała, więc ona włożyła się z dzieckiem po znajomych. Kartasińska pamiętała sprawę i obietnicę. Tylko że później ta obywatelka była kasjerką w salonie gier, ukradła wielkie pieniądze, a aresztowana, symulowała niepoczytalność, którą psychiatrzy wykluczyli po obserwacji szpitalnej. Tak że będzie miała gdzie mieszkać, niech tylko złapie ją milicja i dostarczy do sądu.

□

LISTONOSZ DONIOŚĆ

Jak zrobić zbrodniarza

Na przykładzie Schnepfa Mieczysława widać mechanizm pasowania na zbrodniarzy, dokonywany przez tzw. prawicę. Jest on identyczny z tym, jak robiono to w stalinizmie. Otóż mamy młodego porucznika, który ze swoją kompanią zostaje skierowany na Suwalszczyznę, aby zaprowadzić spokój. Trwają rabunki, podziemie likwiduje ludzi obwołanych za agentów, trzeba zapewnić normalne funkcjonowanie urzędów. Wypada też patrzeć Sowiетom na ręce. W tym czasie na rozkaz Stalina przetacza się walec radzieckich wojsk frontowych, a kontrwywiad wojskowy Smiersz z pomocą UB i NKWD ustala listę przeciwników do likwidacji. Nie wiadomo w zasadzie, kto dokonuje zbrodni i gdzie ona następuje. Tajne przez poufne! Por. Schnepf nie ma o nich pojęcia. Siedzi na tyłach i aby się wykaazać, że jest aktywny, pisze raporty. Ponieważ podlegli mu żołnierze uczestniczyli w akcjach w tzw. grupach operacyjnych wspólnie z ubowcami i milicjantami, przekazuje informacje, że zatrzymano 22 podejrzanych i wydano ich Sowiетom na ich żądanie. (...) Zapewne podobne sprawozdania składa PUBP i KP Milicji Obywatelskiej. Jak się zsumuje, wyjdzie 66... Jest to typowe działanie w czasach radzieckich – rozmnazanie na wzór królików Lejzorka Rojtsztwańca.

Szacunki ofiar „Małego Katynia” są różne. Mnie przekonuje argumentacja dr Jerzego Milewskiego z białostockiego IPN, że ostateczna liczba wyniosła od 700–750. (...)

I nagle po latach ktoś czyta te raporty i wydaje wyrok, że wszak płk Schnepf uczestniczył w mordowaniu polskich patriotów i ponieważ innych osób nie zna, nadaje mu wielkie znaczenie. Tym łatwiej to uczynić, że akurat jego potomkowie to osoby medialne i z kręgu przeciwników politycznych.

Pan Mieczysław Schnepf zrobił w peerelu oszałamiającą karierę. Został komendantem Studium Wojskowego Uniwersytetu Warszawskiego. Nie miałem z nim styczności, bo studiowałem nieco później. Był we wspomnieniach kolegów obiektem żartów i dobroliwych kpinek.

Pozostają z wyrazami szacunku

WB

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Dawid Woliński** powiedział, że nie znosi karmienia piersią w restauracji. Panu Wolińskiemu się nieładnie ułalo.
- **Portal fronda.pl** oburza się nową kolekcją Dolce & Gabbana inspirowaną szatami liturgicznymi. Inspiracja mogła również pochodzić od czerwonych namiotów.
- **Barbara Nowak** powiedziała, że pomysł, by rodzice nie mieli wglądu w oceny pełnoletnich dzieci, rujnuje rodzinę. Na szczęście Bóg widzi wszystko.
- **Polski paszport** znalazł się na siódmym miejscu najsilniejszych światowych paszportów. Paszport Polsatu niestety zawiódł Solorza.
- **Telewizja Republika** rozpoczęła zbiórkę 500 tys. zł na transmisję zaprzysiężenia Karola Nawrockiego. Spore nakłady są potrzebne, żeby pokazać Nawrockiego korzystnie.
- Jedną z atrakcji z okazji **Urodzin łodzi** jest wejście do jelita grubego. W komentarzach rozszalała się gównoburza.

MARTA M.



RYŚ: TOMASZ WINTER

No cóż, mój klient nie błyszczy – ale i tak lepszy z niego safandula niż złoczyńca. Taka refleksja dopadła mnie po trzech dniach zanurzenia w organicznym środowisku żelaznego elektoratu Platformy Obywatelskiej. Miejsce akcji: salon z telewizorem wielkości stołu do ping-ponga. Czas: retransmisja kolejnych aktów „Wymiany Rządu”, w reżyserii Donalda Tuska. Kanał: TVN – stacja, która może i schodzi na psy, ale w porównaniu z Republiką to wciąż Liga Mistrzów rozumu.

Słuchałem z boku, z kąta, bez emocji – jak sądowy obserwator. Oni natomiast przeżywali to jak finał Mundialu. Spięci, podekscytowani, z narracją jak z dokumentu BBC o narodzinach łosia w górskim potoku: „To historyczny moment, proszę państwa!”. Co chwilę odzywał się ktoś z mantrą: „To nonsens! Przecież zanim ci nowi ludzie się wdroszą, minie rok!”. I już następny: „Samo przedstawianie biurek w połączonych ministerstwach potrwa osiem miesięcy. O pieczętkach nie wspomnę, każda z orłem, każda do wymiany!”...

Lepszy marazm niż katastrofa

Oczywiście – to prawda. Ale żyjemy w świecie polityki realnej, nie życzeniowej. Dlatego wystąpiłem w charakterze mentora, wykładowcy z przymusu, który tłumaczy podstawy przetrwania w warunkach demokratycznej katastrofy o ograniczonej sile rażenia.

Mówiłem tak: nieudacznik? Zrobi konferencję, zapowie reformę, po czym... zapomni. Psuj skuteczny? Wprowadzi ustawę, zniszczy instytucję, pozbawi ludzi praw – i jeszcze się tym pochwali. Podsumowałem z powagą: „Lepsza bezczynność niż czynna destrukcja. Nieudolność to forma biernego oporu wobec złych pomysłów”.

Potem kontynuowałem z ogniem: Rząd, który nic nie robi – to rząd, który nie zaciąga długów, nie wprowadza idiotycznych ustaw, nie przeprowadza rewolucji ustawodawczej między piątkiem a poniedziałkiem. Ministrowie, którzy się kłócą o agendy, resorty i fotele – a nie o to, ilu dziennikarzy jeszcze podsłuchać. Państwo, które nie działa, to państwo, które również nie działa przeciwko obywatelom. I w tym właśnie jest ulga: ich niezdolność do zarządzania to także niezdolność do represji. Rządowa niemoc to ostatni bastion zdrowego rozsądku. Chaos decyzyjny to system zabezpieczeń przed wdrażaniem głupoty do końca.

Grzmiałem też niczym nawiedzony prorok realizmu: Alternatywa jest gorsza! Władza PiS to maszyna do produkcji nieszczęść: od Trybunału Konstytucyjnego po Ostrołękę, od zamachu na sądy po Pegasusa. Ich „skuteczność” to efektowna demolka państwa prawa, życia społecznego i zdrowego rozsądku. „Tuskowy marazm to luksusowa cisza po burzy Kaczyńskiego. Nie narzekajmy, że nie wieje, skoro właśnie wyszliśmy z huraganu”. Kochajmy ten rząd za to, że nie umie krzywdzić. Bo naprawdę – to dziś wyjątkowa cecha.

Trudny wybór w politycznym zoo

Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że to wszystko to retoryka – może i przewrotna, ale niepozbawiona słuszności. Słuszności wywiedzionej z zasad, które – mam wrażenie – nieco wykraczają poza przeciętny życiowy refleks. Ale sama retoryka nie wystarczy. A już na pewno nie wystarczy nam samo szyderstwo, choć czasem jest ono najuczciwszą formą opisu.

Nie jestem pewien, czy nasza ubiegłotygodniowa okładka – ta, która przedstawia rząd Tuska jako zespół żywych trupów – rzeczywiście trafia w sedno. Obrazek może i celny, ale czy to jest właściwy kierunek? Krytyka – nawet najbardziej błyskotliwa – nie inspiruje. A dziś potrzeba czegoś więcej

niż tylko śmiechu przez zaciśnięte zęby. Potrzebna jest pozytywna motywacja, narracja, która dodaje otuchy, nawet jeśli materiał, z którego trzeba ją ulepić, przypomina mokrą tekturę.

Bo choć tej ekipie ewidentnie brakuje pomysowości i kreatywności, to właśnie my – jako komentatorzy, obserwatorzy, a czasem i mimowolni doradcy – powinniśmy znaleźć sposób, by w ich niemocy dostrzec potencjał do czegoś więcej niż tylko rozkładu.

Może i rząd Tuska przypomina spektakl zombie polityki, ale skoro mamy do wyboru żywe trupy lub polityczne drapieżniki, które nocą podgryzają konstytucję – to ja jednak wolę tych,



To nie jest rząd marzeń. Ale to wciąż nie koszmar

którzy tylko snują się bez celu, niż tych, którzy wiedzą, dokąd idą z siekiera.

Etykieta ważniejsza niż zawartość

Skoncentruję się na tym, na czym się znam. A znam się na przyklejaniu etykiet. Takie czasy: rzeczywistość może być byle jaka, ale jeśli ma dobrą nalepkę, to sprzedaje się jak marzenie.

Weźmy przykład z branży spożywczej. Butelka? Napełniona zwykłą wodą z kranu. Ale jeśli nakleić na nią etykietkę z napisem: „Woda źródłana z serca prekambru. Krople dojrzały przez miliony lat. H₂O wysublimowane z moczu dinozaurów” – to już nie jest żadna kranówka. To napój mistyczny, niemal eliksir nieśmiertelności. I można go sprzedawać po 200 zł za litr, z VAT-em od cudów.

Dochodzimy do sedna: rząd Donalda Tuska potrzebuje właśnie takiej etykiety. Potrzebuje porządnego piaru. Nie rebrandingu, nie kampanii, tylko brutalnie szczerego, wysokiej klasy opakowania absurdu w celofan nadziei. Bo przecież to, co mamy, to polityczna kranówka. Ale nawet ta może smakować, jeśli wmówić ludziom, że to substancja premium, filtrowana przez skały sumienia i wartości europejskich.

Oni mogą nie umieć rządzić, ale ktoś musi im pomóc udawać, że wiedzą, dokąd to wszystko zmierza. To już coś. Tyle że nie robią tego własnymi siłami, bo PR tej ekipy wygląda, jakby pisała go sztuczna inteligencja ucząca się z komentarzy na Facebooku. Potrzeba narracji. Opowieści. Bo w polityce jak w marketingu: nie liczy się, co jest w środku. Liczy się to, co na etykiecie. A na obecnej, niestety, ktoś flamastrem dopisał: „Produkt może zawierać śladowe ilości sensu”.

Prokuratura na tropie... teorii spiskowych o gaśnicach

To absolutny skandal, że przez półtora roku prokuratura nie była w stanie doprowadzić do finału ani jednej kluczowej sprawy. To nie jest trudne. Sam przez lata byłem dziennikarzem śledczym i wiem, że każdą poważną aferę, jeśli się tylko chce i umie, da się rozgrzyźć w trzy miesiące. Nawet prowadząc równoległe kilka tematów. Potrzeba tylko woli, kompetencji i niezależności. Niestety, żadnego z tych składników nie ma dziś wystarczająco ani w prokuraturze, ani w politycznym centrum dowodzenia.

Zamiast konkretów mamy festiwal pozorów. Czepianie się duperele, happeningów Brauna

z gaśnicą, inscenizacji, prowokacji, marginesów sprawy. A gdzie główne danie? Premier Morawiecki ukrywa majątek, przepisując go na żonę. To nie jest żaden „sprytny manewr prawny”, tylko klasyczna czynność pozorna – paragraf 233 kodeksu karnego aż się prosi, by go zastosować. Morawiecki wynajmuje od Ukraińców największy samolot transportowy na świecie, by wieźć z Chin nieprzetestowane maseczki, podczas gdy flota narodowego przewoźnika, LOT-u, stoi na ziemi. To nie tylko pokaz niegospodarności. To działanie na szkodę państwowych interesów.

Rozliczenia nie są dodatkiem do programu rządu. One są warunkiem odzyskania wiarygodności. Jeżeli sprawcy największych przekrętów ostatnich lat będą dalej spokojnie grać w golfa, prowadzić fundacje albo planować powrót do władzy – to cały ten nowy rząd nie jest żadnym nowym otwarciem. Jest tylko interwałem między sezonami serialu o bezkarności.

A zatem. Raz w tygodniu, z godnością świętego Jerzego w garniturze, rzecznik prasowy sprawiedliwości zwołuje konferencję prasową i z miną pogromcy smoków ogłasza: „Prokuratorzy dokonują ogromnego wysiłku!”. Tu następuje długa lista heroicznych czynności biurowych. Tyle a tyle tomów akt, setki przesłuchań, dziesiątki analiz, ekspertyz, konsultacji.

A potem – pikantny szczegółik: ktoś kupił respirator od pasera, ktoś inny ukrył majątek w lodówce, a jeszcze inny pomylił fundację z kontem prywatnym. To ma smakować. To ma działać jak zapowiedź kolejnego odcinka serialu: „Sprawa dla prokuratora – sezon trzeci, epizod ósmy”. Telenowela dla sfrustrowanych obywateli, którzy zamiast rozliczeń dostają show – demonstrację mocy Temidy. Chodzi o to, by ludzie mieli wrażenie, że coś się dzieje. Że oto państwo działa, że ktoś „śledzi sprawę”, że walka z bezprawiem trwa.

Poza rojeniami: realne możliwości Polski

W kolejnej odsłonie tej smutnej opery politycznej potrzebna jest wizja. Taka, która opiera się na realnych możliwościach, a nie na głupich rojeniach o „milionie elektrycznych samochodów” w kraju, w którym nawet śrubokręty są z importu. I takie możliwości na szczęście są. Nie, nie „kosmiczna agencja narodowa”, tylko coś, co rzeczywiście można zrobić.

Np. energia wodorowa. To mogłoby być realne rozwiązanie naszego chronicznego deficytu

energetycznego. Co mamy dziś? Wiatraki, które kręcą się wtedy, gdy nikt nie potrzebuje prądu. Albo stoją wtedy, gdy prąd by się przydał. A przecież można to prosto zintegrować: kiedy wiatr wieje za dużo, nadmiar prądu wykorzystujemy do elektrolizy wody; tlen – do atmosfery (miło); a wodor – do zbiornika.

I kiedy wiatr cichnie, a słońce idzie spać, uruchamiamy wodorowy generator i mamy czystą, przewidywalną energię. To nie futurologia. To fizyka dla średnio zaawansowanych. I co ważne, jest w zasięgu polskiej inżynierii. Potrzeba tylko rozumu, woli i odrobiny odwagi, by odejść od fetyszu importowanego gazu i groteskowego „atomu za dziesięć lat”.

A co z rolnictwem? Jasne, że trzeba je wspierać, ale nie po to, by produkować buraki cukrowe do składowania albo jabłka na zgnicie. Unia rządzi się swoimi prawami, limity, nadprodukcja, spekulacje. Ale są miejsca, gdzie żywność nie tylko jest potrzebna, ale bywa wręcz wybawieniem. Afryka głoduje – to nie slogan, to rzeczywistość. Cała masa krajów zjadałaby nasze nadwyżki z radością, tylko trzeba się z nimi dogadać handlowo. A żeby się dogadać, trzeba wysłać na miejsce naszych najlepszych negocjatorów. Niech badają rynek, niech robią interesy. Da się.

No i w końcu budownictwo. Naprawdę trudno zrozumieć, dlaczego w kraju, który stoi budowlaniami, który przez ostatnie dekady eksportował tysiące murarzy, cieśli, monterów i operatorów koparek do całej Europy, autostrady wciąż budują Chińczycy albo Skandynawowie. To absurd – ale i potencjalnie forpoczta ekspansji. Bo to już nie czasy PRL, kiedy w ramach RWPG budowaliśmy cukrownie w Afryce albo hutę w Iraku. Teraz to u nas ktoś inny buduje, ktoś inny zarabia, a nasze firmy są podwykonawcami we własnym kraju.

Aha – mamy jeszcze przemysł meblarski, który tylko czeka, żeby ruszyć do globalnej ofensywy z frontem szafek kuchennych i szuflad z cichym domykiem. Jesteśmy jednym z największych eksporterów mebli na świecie, ale nikt o tym nie wie, bo nie pakujemy ich w narodowe flagi.

Polscy programiści? Jedni z najlepszych na świecie – i to nie według naszych, tylko ich rankingów. Logistyka? Polska to dziś magazyn i przełęcznik Europy z kablami rozciągniętymi od Berlina po Bukareszt. Branża gier? Jesteśmy już nie tylko na mapie, ale i na ekranach: od „Wiedźmina” po „Dying Light” – to nasze cyfrowe husarie. Krótko mówiąc: mamy z czym i mamy kim rzucić świat na kolana.

Władza: sztuka udawania, że się wie, co robić

Trzeba tylko przestać mylić wizję z halucynacją. Bo Polska naprawdę nie musi się zadowalać rolą wiecznego peryferyjnego montażysty cudzych pomysłów. Potrzebna jest odrobina sprytu, odwaga i umiejętność przekuwania realnych atutów w konkretne rozwiązania. Bez napinania się na bycie drugą Kalifornią.

Od 20 lat rozmawiam z ludźmi, którzy sprawowali władzę – na różnych szczeblach, w różnych epokach. Gdy są już „po”, gdy nic nie muszą udawać ani nikogo zadowalać, zaczynają mówić szczerze. I wtedy słyszę jedno powtarzające się zdanie: „Sprawowanie władzy jest bardzo trudne”. Nie chodzi o procedury ani przepisy. Chodzi o to, że każda decyzja to kompromis między złym a jeszcze gorszym. Wielu z nich przyznaje wprost: Czasami lepiej było nie robić nic. Tylko gasić pożary i pilnować, żeby nikt nie odkręcił zaworu z benzyną.

Ale społeczeństwo nie może tego usłyszeć. Społeczeństwo musi mieć wrażenie, że ktoś nad tym wszystkim panuje. Że państwo ma ster, kapitał, mapę i choćby jakąś zardzewiałą busolę. Nawet jeśli w rzeczywistości statek płynie z prądem, a decyzje są podejmowane przez zmęczonych ludzi, których głównym planem jest „doczekać do środy bez katastrofy”.

Wątpliwości władzy lepsze niż pewność fanatyków

To poczucie panowania nad sytuacją jest społeczeństwu potrzebne jak ciepła herbata zimą. Nie chodzi o realną kontrolę, tylko o komfort przekonania, że poza Panem Bogiem jeszcze ktoś tu ogarnia. Nawet jeśli nie ogarnia.

Dziś alternatywa jest brutalna. Za drzwiami już stoją ci, którzy nie mają żadnych wątpliwości, którzy potrafią skłamać w każdej sprawie, nie znają samokrytyki, nie mają wstydu, hamulców ani etyki. Za to mają ambicję większą niż konstytucja i pamięć historyczną, która służy im tylko do produkcji kolejnych mitów.

Ci ludzie są gotowi wywołać każdą katastrofę, byle tylko spełnić swoje mesjanistyczne wizje. Nie znoszą kompromisów, bo kompromis pachnie słabością. A gdzie nie ma słabości, tam zaczyna się polityczna przemoc. I właśnie dlatego czasem warto wspierać tych, którzy mają wątpliwości. Człowiek zdolny do refleksji wie, kiedy należy nie działać, co bywa formą odpowiedzialności.

ROBERT JARUGA

Podczas rekonstrukcji rządu premier Donald Tusk zapewniał, że cały resort zdrowia zostanie odpartyjiony i odpolityczniony, a głównym kierunkiem zmian będzie poprawa sytuacji pacjentów, a nie lekarzy. Wiele wskazuje na to, że stanie się dokładnie odwrotnie.

Pudrowanie zwłok

Na czele ministerstwa zdrowia – niechlubnej stajni Augiasza polskiego rządu – stanęła Jolanta Sobierańska-Grenda. Portfolio nowej pani minister może robić wrażenie. Z wykształcenia prawniczka, wcześniej pracowała w samorządzie. Najpierw na szczeblu powiatowym – pełniła funkcję sekretarza powiatu malborskiego, później wojewódzkim – była dyrektorką Departamentu Zdrowia Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego. Nadzorowała kilkanaście przekształceń szpitali marszałkowskich w spółki prawa handlowego oraz konsolidacji – nie tylko w placówkach, które podlegały jednemu właścicielowi, ale także pomiędzy szpitalami marszałkowskimi i Centrum Klinicznym w Gdańsku podlegającym uczelni medycznej. Wreszcie objęła prezesurę spółki Szpitala Pomorskie.

Wiewiórki donoszą, że Sobierańską-Grendę Tuskwowi miał polecić absolutnie zachwycony jej osobą i dokonaniem marszałek województwa pomorskiego Mieczysław Struk, szef regionalnych struktur PO. W pomorskich kuluarach świeżo mianowana pani minister ma opinię zdeterminowanej, by nie rzec bezwzględnej. Jak sama mówi, jej hobby to restrukturyzacja szpitali. To ciekawe, bo chwilę przed objęciem stołka przez Sobierańską-Grendę na posiedzenie Rady Ministrów w czwartym podejściu wrócił projekt ustawy o reformie szpitalnictwa, za który regularnie głanowano Izabelę Leszczynę, a 24 lipca do konsultacji społecznych trafiła przygotowana przez resort bylej minister reforma regulacji kontraktów dla lekarzy. Wbrew pozorom nie są to dobre informacje dla pacjentów.

Po trupach do celu

Zapowiedź szefa rządu o spuszczeniu po brzytwie środowiska lekarskiego nie dziwi. Politycy od miesięcy wszelkimi kanałami próbują zrzuć winę za dziurę budżetową i chaos w ochronie zdrowia na medyków.

Komunikat, że publiczne pieniądze przeznaczone na zdrowie idą na pensje dla lekarzy, a nie na leczenie, to stary chwyt politycznego marketingu. Antagonizowanie lekarzy i pacjentów oznacza zaś tyle, że rząd będzie ostro ciął,

Śpieszmy się chorować, póki możemy się dopchać do lekarza

Ostre cięcie



a wszelkie próby protestów ze strony pracowników sektora medycznego upchnie pod dywanem spekulacji „pokaż lekarzu, co masz w garażu”.

Przedstawiony przez wiceministra zdrowia Jerzego Szafrańowicza projekt golenia lekarskich kontraktów odbija się ciężką czkawką u pacjentów. Dlaczego? Pomysł Ministerstwa Zdrowia zakłada m.in., że lekarz może być zatrudniony na podstawie kontraktu, ale pod warunkiem, że w wymiarze nie mniejszym niż pół etatu. Z danych zebranych przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji wynika, że na podstawie umowy o pracę zatrudnionych jest jedynie 27,64 proc. medyków. Lwia część pracuje na kontraktach. W dużym skrócie: lekarz prowadzący samodzielną praktykę (JDG) na podstawie kontraktu świadczy usługę medyczną szpitalowi, za którą na koniec miesiąca wystawia fakturę. Jako że tej formy współpracy nie obowiązuje kodeks pracy (w tym ograniczenia godzinowe), lekarz zaszuwa tyle, na ile starczy mu sił i motywacji (czyli procent od wykonanych procedur, za które szpitalowi płaci NFZ). Im więcej lekarz pracuje, tym więcej zarabia. Kominy płacowe, o których chórem pieją politycy, trafiają się w obszarze mało popularnych specjalizacji medycznych jak np. kardiochirurgia, neurochirurgia czy onkologia. To dziedziny medycyny, w których trudno uciec

do sektora prywatnego. Na dokładkę bardzo dobrze wyceniane przez Narodowy Fundusz Zdrowia. To ma się zmienić.

MZ chce, by umowa inna niż regulująca stosunek pracy albo stosunek służbowy zawierała „w szczególności stawkę godzinową, liczbę i harmonogram godzin udzielania świadczeń opieki zdrowotnej objętych umową”. Oznacza to tyle, że jeśli lekarz za pięć wykonanych zabiegów będzie miał płacone tyle samo co za jeden czy dwa – to nie będzie miał interesu w tym, by tych zabiegów robić jak najwięcej. W konsekwencji wydłużą się kolejki, a pacjenci będą zmuszeni ratować dupy w sektorze prywatnym.

Komiwojażerowie są potrzebni

O ironio, stracą też same szpitale. NFZ płaci placówkom za wykonanie zabiegu, diagnostyki i pobyt pacjenta. Są procedury (jak np. leczenie zapalenia płuc), do których szpital dopłaca. To znaczy, że koszt leków, badań i godzin pracy personelu jest wyższy, niż szpital otrzyma pieniędzy z rządowego paśnika za pobyt chorego. Ale są też procedury, na których szpitale mogą zarobić, bo Fundusz płaci więcej, niż taki koszt wynosi. Ponieważ placówki objęte są ryczałtem, powyżej którego NFZ nie buli, cała sztuka polega na tym, by utrzymać odpowiedni balans między procedurami. Tu z pomocą przychodzą lekarze kontraktowi, których można – za przeproszeniem – wynająć na określoną liczbę zabiegów. Nie wszędzie jest tylu pacjentów, żeby lekarz był potrzebny w placówce nawet na pół etatu. Odgórnie uwiązanie medyka w pewnych miejscach będzie generowało tzw. pułste przeloty, za które dyrektor szpitala i tak będzie musiał lekarzowi zapłacić.

Uwalenie procenta od wykonanej procedury dla lekarzy kontraktowych zmniejszy też dostępność specjalistów w mniejszych ośrodkach. Izabela Leszczyna w jednym z wywiadów powiedziała, że

„lekarz nie może być jak komiwojażer, który z walizką jeździ do różnych, często odległych szpitali”, a wpisany w kontrakcie procent od wykonanej procedury sprawia, że medyk staje się ich wyrobnikiem, zamiast skupiać się na pacjencie. Nie do końca. Jeśli dziś zespół kardiologów na kontraktach jeździ z własnym sprzętem po szpitalach powiatowych z ratującą życie usługą wykonywania ablacji (przypalania/zamrażania tkanek serca, by pozbyć się arytmii), po zmianach planowanych przez ministerstwo ci sami lekarze zwiążą się z największymi placówkami, które mają tłuste kontrakty z NFZ i które – mówiąc zwyczajnie – będzie stać na wykonywanie takich procedur. W efekcie pacjenci będą musieli tarabanić się do dużych ośrodków. Może wydłużą się kolejki, ale za to NFZ zaoszczędzi. Zapachniało centralizacją? I słusznie.

Kwadratura koła

Planowana reforma szpitali zakłada, że szpitale powiatowe będą klasyfikowane w ramach map zabezpieczenia szpitalnego na poziomy: podstawowy, specjalistyczny, wysokospecjalistyczny lub strategiczny. Większość powiatowych placówek wpadnie do wiadra poziomu podstawowego. To z kolei oznacza, że dostęp do opieki zdrowotnej na poziomie lokalnym może znacząco się pogorszyć, bo zamykanie oddziałów czy ich reprofilowanie będzie zmuszać pacjentów do podróżowania do większych miast. Dokument zawiera regulacje dotyczące udzielania świadczeń nocnej i świątecznej opieki zdrowotnej oraz SOR, ale nie uwzględniono w nim zabezpieczeń przed zamykaniem tych kluczowych dla bezpieczeństwa lokalsów oddziałów.

Za placówki powiatowe odpowiadał samorządy. Przerzucenie odpowiedzialności za restrukturyzację i konsolidację na starostwa, często borykające się z ograniczonymi budżetami, może doprowadzić do kłopotów w dostępie do środków z KPO – szczególnie że w mniej zamożnych regionach samorządy mogą mieć problem z finansowaniem programów naprawczych, od których uzależnione będzie ministerialne wsparcie. Nietrudno się domyślić, jak smarkate mogą być tego efekty.

Wśród zachwyków nad zaprawioną w konsolidacyjnym boju nową panią minister zdrowia pojawiła się wypowiedź prezesa Polskiej Federacji Szpitali Jarosława Fedorowskiego, od której może zmarszczyć się dupa. W wywiadzie dla „Menedżera Zdrowia” powiedział: „Dziś cały czas brniemy w ślepy zaulek, jesteśmy sfokusowani na poprawie tzw. dostępności, a to nie jest kluczowy wskaźnik jakości opieki zdrowotnej (...). Jako Polacy już teraz zbyt często odwiedzamy lekarzy specjalistów szczegółowych, a i specjalizacji lekarskich mamy znacznie za dużo. W tym kontekście milion czy więcej szybkich wizyt u lekarzy specjalistów szczegółowych problemu nie rozwiąże, a może go wręcz pogłębić”. Zdaje się, że kierunek „naprawy” systemu ochrony zdrowia został jasno wytyczony. Brzytwa poszła w ruch.

IDALIA DUBICKA

Przysięga na jaja

I jak tu dziś wierzyć ludziom?

Myśl, że taki osobnik jak Karol Nawrocki będzie osobnikiem prezydenckim, skutkiem złożenia przysięgi na wierność konstytucji, której wartości – takie jak równość czy wyznaniowa neutralność państwa – z całą oczywistością ma za nic, napawa mnie obrzydzeniem i zgrozą.

Bez mrugnienia okiem, z całą bezmyślną bezczelnością dokona krzywo przysięstwa, obiecując coś, czego nie tylko nie dopełni – lecz nawet nie weźmie pod uwagę ewentualności zapoznania się z tym, do czegoż to się „zobowiązał”. System liberalnej demokracji jest mu bowiem co najmniej tak wstrętny, jak wstrętne dla nas jest „bramkarzowanie” w luksusowym przybytku rozpusty albo wyłudzenie mieszkań od osób bezradnych. Trudno o większą różnicę moralną niż ta dzieląca bezwzględne karierowicza budującego się na brutalnym i prostackim nacjonalizmie, w dodatku zakumplowanego z gangusami, od ludzi zwanych przyzwoitymi i kulturalnymi. A jednak to on będzie składał swą bluźnierczą przysięgę i będzie ona w świetle prawa ważna i obowiązująca. Tak zechciał lud polski i to się dziś ziszcza. Kibol prezydentem! Ciężka łapa na polskiej konstytucji. Zachrypnięty głos dresiarza w garniturze będzie przysięgać. Na prawne i moralne fundamenty polskiego państwa zapisane w ustawie zasadniczej!

Zaiste, coś jest nie tak z przysięganiem. Zbyt często te uroczyste obietnice i zobowiązania okazują się pustymi gestami. Przysięgał wierność? No, przysięgał. Jak przysięgał, to „tak czuł”. A że potem „czucie” się zmieniło, to i przysięga straciła moc. Łamanie przysięg przychodzi łatwo, bo przecież „nie wszystko dało się przewidzieć” i „zmieniły się okoliczności”. Po co więc cały ten cyrk?

Są takie religie – w tym również niektóre tzw. denominacje chrześcijańskie – które zakazują przysięgania. I wiele mają po temu powodów.

Pierwszy dotyczy przysięgania przez świadka w sądzie. Albo mówi prawdę, albo kłamie. Ile znaczy dla kłamcy kłamać raz jeszcze, fałszywie przysięgając? Poza tym dlaczego mamy karać surowiej kłamcę, który przysięgał, od tego,

który kłamał, nie przysięgając? Skłamał i tyle. Każda wypowiedź, w której coś twierdzimy, domyślnie połączona jest z zapewnieniem, że jest prawdziwa. Nie mówimy „prawdą jest, że dziś jest wtorek”, lecz „dziś jest wtorek”. I tak samo zbędna jest przysięga. Niektórzy mówią „przysięgam, że dziś jest wtorek”, ale to brzmi głupio, prawda?

Są jednakże i ważniejsze powody, dla których przysięganie ma w niektórych kulturach i społecznościach złą opinię. Człowiek jest bowiem istotą zbyt słabą, aby mógł z dobrą wiarą składać uroczyste przyrzeczenia. Nie może ufać samemu sobie, więc dlaczego miałby innych zapewniać, że nie nadużyje zaufania, którego sam nawet nie ma do samego siebie? Ano chyba tylko po to, aby nieco zwiększyć prawdopodobieństwo, że jednak się nie sprzeniewierzy. Bo wtedy będzie mu można powiedzieć: „Ale przecież przysięgałeś!”. W takiej grze w przysięganie chodziłoby jednakże o to, że ludzie raczej nie spełniają danych obietnic, a nie że je spełniają. Gra nie jest więc uczciwa i polega na wywieraniu presji. Czy takim przysięgom w ogóle warto wierzyć?

Bynajmniej. Żąda się od ludzi przysięg właśnie dlatego, że im się nie ufa. I właśnie dlatego najczęściej przysięganie połączone jest z symbolicznym aktem poświęcenia pewnej wartości, czyli karą w przypadku jej złamania. Jest to właśnie „przysięganie na”. „Na głowę matki” znaczy: zabijcie moją matkę, jeśli zdradzę. „Na konstytucję” znaczy: niech państwo uzna mnie za zdrajcę, jeśli złamię tę przysięgę. „Na Biblię” znaczy: niechaj odebrana mi będzie nadzieja

zbawienia, jeśli się sprzeniewierzę.

Wszystko to jednakże marność nad marnościami i bajki. Nikt tych matek nie zabija, zdrajców nie ściga, a co do zbawienia, to kapryśni bogowie czasami mają niezdrowe ciagoty do grzeszników.

Dlatego, moim skromnym zdaniem, jedyna przysięga, której warto uwierzyć, to przysięga na własne jaja. Oczywiście pod warunkiem, że faktycznie delikwent będzie miał powody się bać, że mu te klejnoty urwą w razie, gdyby nie dotrzymał.

ETYKA BEZBOŻNA

Bo nie ma wiarygodności bez realnych konsekwencji w razie sprzeniewierzenia i zdrady. Gesty symboliczne nic dziś nie znaczą, bo nic nie znaczą honor. Nie ma plemienia, które mogłoby nas ukarać napiętnowaniem i wykluczeniem. Możemy sobie gadać, co chcemy – przysięgi zbierają lajki i łamane przysięgi zbiera lajki. Moralność to nudziarstwo – o czym najlepiej wiedzą Czytelnicy tej zacnej rubryki. Ale jaja to jednak każdy chłop chciałby mieć w całości, najlepiej razem ze swoim małym przyjaciele. Nawet jeśli już tego zestawu nie używa. A Nawrocki – typ ogólnie używający, czego się tylko da – to już zwłaszcza. Niech by więc przysięgał na własne genitalia, a wtenczas i ja bym chłopu uwierzył. Niestety, procedura takiej ewentualności nie przewidziała. A szkoda.

W bonusie jeszcze komentarz dżenderowy. Nie wiem, na co powinny przysięgać kobiety. Byłoby dobrze, gdyby w ogóle nikt na nic nie przysięgał – wtedy problem rozwiązałby się sam. W każdym razie odradzam wiarę w męskie przysięgi. Na koniec mężczyzna zawsze pójdzie tam, gdzie go za uchem podrapia i po plecach poklepią. Jest to bowiem istota nade wszystko spragniona pochwał i pieszczot, z wyglądu tylko niepodobna do pieska i przez to myląca. Ale o tym to już innym razem.

JAN HARTMAN

Hołodnar

Czy naprawdę nikogo z entuzjastów PO nie martwi bezwzględność premiera?

Trudno specjalnie polemizować z opinią, iż z tym „zamachem stanu” to Hołownia pierdolnął. Taka hiperbola pasowałaby do tygodnika „NIE”, ale nieszczerze przejął władzę prezydencką, żeby podpisać rządowi różne ustawy – traci zamachem stanu.

Ale skoro do nas pasuje, to napiszmy: owszem, koncept, żeby marszałek sejmu zakwestionował zwycięstwo kandydata opozycji w wyborach prezydenckich i korzystając z wybiegu formalnego przejął władzę prezydencką, żeby podpisać rządowi różne ustawy – traci zamachem stanu.

To, że Nawrocki wygrał – nie ulega wątpliwości. Nikt – poza nieszczęsnym doktorem Kontkiem – nie twierdzi, że nieprawidłowości (wymagające potępienia i ukarania, ble, ble, ble) były na tyle powszechne, żeby mogły wpłynąć na wynik wyborów. Wystarczy zresztą spojrzeć na pierwszą turę: 60 proc. wyborców głosowało w niej przeciw rządowi.

Receptę na tę niezręczną sytuację zaoferował w czerwcu prof. Andrzej Zoll. – Marszałek Hołownia, zgodnie z konstytucją, musi zwołać Zgromadzenie Narodowe 6 sierpnia, ale Zgromadzenie Narodowe może zawiesić swoje postępowanie. I wtedy kończy się kadencja prezydenta Dudy, a urząd prezydenta będzie sprawował pan marszałek Hołownia. I może wtedy podpisać ustawę incydentalną i nawet inne ustawy szanujące nasz wymiar sprawiedliwości – mówił Zoll w TVN24.

Serduska „Silnych Razem” zdrząły nadzieją, pomysł zyskał własne życie, do dyskusji włączyły się autorytety polityczne tej rangi co aktorka Szczepkowska wzywająca Hołownię do „odwagi”. Zdaniem informatorów Interii Tusk wystosował pod adresem Hołowni „bardzo wyraźną propozycję, ofertę albo sugestię”, żeby odłożyć zaprzysiężenie albo zrealizować scenariusz Zolla. Hołownia bardzo wyraźnie odmówił, co miało lec u postaw aktualnej fazy konfliktu.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Powtórzymy: wyskok Hołowni w Polsce – „wielokrotnie proponowano mi, czy sugerowano, czy rozpytywano mnie, czy jestem gotowy przeprowadzić zamach stanu” – był głupawy. Wiele z wymierzonej pod jego adresem krytyki – także ze strony moich redakcyjnych kolegów (patrz obok) – jest uzasadnione.

Ale cały koncept Zolla – od którego skądinąd ów autorytet prawniczy historycznie się teraz odcina – jest po prostu skandaliczny. Jest wulgarnym gwałtem na demokracji, której istota polega na tym, że rządzi ci, którzy wygrali wybory. Wydawałoby się, że rycerze konstytucji winni to rozumieć. I docenić fakt, iż marszałek sejmu ma odwagę bronić demokracji, nawet jeśli jej werdykt jest nie po jego myśli.

Dobra, żartowałam.

Odpowiedź obrońców demokracji najlepiej ilustruje robiący karierę w sieci filmik kolesia

pod kryptonimem „Prezes z lasu”: „Pytacie, kim jest dla mnie Hołownia. Krótka odpowiedź: zwykłym, kurwa, sprzedajnym śmieciem, polityczną szmatą,

która kiedyś miała potencjał na fajnego polityka, ale to wszystko spierdolił, skurwiel jebany”.

Donald Tusk doskonale wie, że grono jego wyznawców – fanatyczny elektorat PO, według badań Sierakowskiego i Sadury równie

bezwzględny jak wyznawcy Kaczyńskiego – uwielbia hejtować Hołownię, bądź co bądź jego koalicjanta. Odpowiedzialny polityk, świadomy swojej władzy nad fanami, próbowałby wytonować nastroje.

Co na to Donald Tusk? Ogłasza pogardliwie, że Hołownia jest jak dziecko, które robi głupoty na wakacjach – a potem nie wytrzymuje i dokłada z grubej rury, że w polityce nie może być miejsca „na wyścigi zdradców, głupców albo ludzi bez wyobraźni”.

Nie przepadam za Szymonem Hołownią. Uważam, że jest festyniarzem zasłużanym w tembr własnego głosu. Ale jego koncept – że wprowadzanie manichejskich podziałów do polityki szkodzi demokracji, a wojna między PiS i PO nie jest „zmaganiem szatana z Przenajświętszą Panienką” – odpowiada mi bardziej niż koncept Tuska, że wybory 2023 r. były „konfrontacją dobra ze złem” i walka ciągle trwa. Bo kraj, w którym władza w ten sposób myśli o demokracji, jest krajem chujowieńkim do życia.

A tak à propos: czy nikomu nie żal Adama Bodnara? Rzetelnego prawnika, zaangażowanego obrońcy praw człowieka, który poszedł na kompromis ze swoim prawniczym sumieniem dla wyższego celu, za jaki niewątpliwie uważał przywrócenie praworządności – ale pewnych granic nie był w stanie przekroczyć? Jak mówią ludzie z jego bliskiego otoczenia, Bodnar był przekonany, że ma z Tuskiem umowę na cztery lata, i o tym, że wylatuje, dowiedział się w przeddzień rekonstrukcji. A przedstawiając zmiany w rządzie, premier nawet nie wymienił nazwiska odchodzącego ministra sprawiedliwości, choć znalazł czas, żeby podziękować mistrzyni nieudacznictwa, jaką była Izabela Leszczyna.

Myślę sobie, że bycie sojusznikiem Donalda Tuska jest znacznie bardziej ryzykowne niż bycie jego otwartym wrogiem. Ci ostatni przynajmniej wiedzą, że nie należy się od niego odwracać plecami.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓZDZEK TYGODNIA

Arcybezmózgiem tygodnia był oczywiście Szymon Zamach Hołownia. Taką durnotę niełatwo przebić, choć wielu próbowało. Najbliżej był Maciej Świrski, do niedawna przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Przez lata Świrski był, jak sam mówił, talibem PiS-u. W nagrodę dostał funkcję i pensję szefa KRRiT. Z obu korzystał pełnymi garściami – na korzyść swojej i swojej partii, na niekorzyść demokracji i wolnych mediów.

Późno, bo późno, ale w końcu przyszła kryśka na Matyska: sejm przegłosował postawienie Świrskiego przed Trybunałem Stanu.

Świrski nie przyjął tego do wiadomości, ogłaszając, że był, jest i będzie przewodniczącym KRRiT – i przydzie do pracy, chociaż z mocy prawa został zawieszony w czynnościach.

Po niewielu godzinach zdominowana przez pisowców Krajowa Rada odwołała pisowca Świrskiego z funkcji przewodniczącego, a powołała pisowę nazwiskiem Głapiak.

Na nasze oko Świrski wyszedł na tym wszystkim na durnia, chociaż możemy się mylić. Niewykluczone, że wiedziony swoją genialną intuicją prezes Kaczyński znajdzie Świrskiemu nowe zadania, nową posadę i nową kasę do przytulenia.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Polski model ustrojowy przewiduje de facto dwuwładzę: dwa główne ośrodki władzy wykonawczej, rządowo-parlamentarny i prezydencki, są kierowane przez liderów wybranych w wyborach powszechnych. Co – jeśli reprezentują oni przeciwne obozy – z zasady owocuje polityczną przepychanką. Sejm sobie przyjmuje ustawy, prezydent je wetuje i tak dokoluśka. Nie jest to model idealny – ani jedyny z możliwych.

W wielu krajach głowa państwa wybierana jest przez parlamentarzystów. Co ciekawsze, i tu, i tam prezydent ma podobne możliwości decyzyjne – może wetować ustawy, zaprzysięgać rząd, mianować kogo trzeba, być formalnym zwierzchnikiem sił zbrojnych i oczywiście pełnić funkcje ceremonialne. Istnieje też uproszczony model rządzenia, przyjęty przez Stany Zjednoczone, a za ich przykładem także niektóre inne państwa: tam prezydent stoi na czele rządu, odpada tym samym niebezpieczeństwo koabitacji. W europejskich monarchiach ten problem też nie istnieje: rząd faktycznie rządzi, a głowa państwa – król bądź królowa – stoi sobie z boku otoczona tym samym powszechnego szacunku. Z kolei w monarchiach azjatyckich władzę sprawuje król, a nie rząd czy parlament – jeśli w ogóle tam jest.

Polska przyjęła jednak system prowadzący do dwuwładzy, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Jakie będą tego skutki tym razem, zaczniemy się przekonywać po formalnym objęciu urzędu przez Karola Nawrockiego.

Bój to jest ich kolejny

Strategia uprawniania przez rząd przez ostatnie 18 miesięcy – nie będziemy uchylać ustaw, bo Duda i tak nie podpisze, poczekamy na naszego prezydenta – brutalnie wzięła w łeb i od środka Donald Tusk będzie zmuszony przedstawiać ustawy Karolowi Nawrockiemu. Obie strony już szykują się do boju.

Nawrocki zapowiada projekt nowej, bardziej korzystnej ustawy o rewolucyzacji świadczeń emerytalnych, choć to nie on będzie ją wprowadzał w życie. Ze strony rządowej zwiastunem nadchodzącego starcia może być nominacja Waldemara Żurka na stanowisko ministra sprawiedliwości. Wielu komentatorów uważa, że Tusk zamienił Bodnara na Żurka, widząc w nim właśnie twardego partnera do boju z również twardym Nawrockim.

Wygląda na to, że Tusk i jego formacja większość energii poświęcą na walkę z opozycją, z Nawrockim na czele. Można zatem przewidywać, że

Polski system polityczny skazuje nas na nawalankę

Dwugłowa hydra RP

premierowi zabraknie energii na rozwiązywanie najpilniejszych, wciąż leżących odłogiem problemów. Zmniejszając liczbę ministerstw, przesuwając dotychczasowych szefów resortów na mniej eksponowane stanowiska, Donald Tusk może się chwalić odchudzeniem centralnej administracji – choć przedtem ją utuczył, co przypomina znany żydowski dowcip o rabinie i kozie.

Jak trafnie zauważył Adrian Zandberg, „problemem tego rządu nie jest jeden czy drugi kiepski minister, ale to, że od półtora roku nie realizuje obietnic wyborczych”. Zandberg przedstawia przykład: że zmiana szefowej resortu zdrowia nic nie zmienia, jeżeli nadal brakuje 20 mld zł na funkcjonowanie szpitali. Czy da się wygospodarować te miliardy? Tak – jeżeli przesuniemy je z wydatków na wojsko, zwłaszcza na zakup nieużytecznych w dzisiejszych czasach czołgów, na dofinansowanie służby zdrowia.

Na bieżący rok planowane jest wydatkowanie na cele militarne 186,6 mld zł. O 28,6 mld więcej niż w roku ubiegłym. Gdyby nawet wydatki te pozostawić na ubiegłorocznym poziomie – znalazłoby się te ponad 20 mld, o których mówił Zandberg.

Tymczasem rząd cichcem, ale za to skutecznie, uszczupla dofinansowanie leków dla osób w wieku powyżej 70 lat, usuwając co poniektóre substancje z listy refundacyjnej i wprowadzając ich pełną odpłatność.

Zbróymy się, bójmy się

Przeciwko nadmiernym zbrojeniom nie występuje opozycja – najwidoczniej uznając, że ważniejsze są czolgi czy samoloty bojowe niż tanie lekarstwa, wyposażenie szpitali, skrócenie kolejek na badania specjalistyczne itd. „Klasa polityczna” w Polsce, podobnie jak w większości państw europejskich, jest bowiem ogarnięta obsesją nieuchronnej wojny z Rosją. Dla przemawiającego w sejmie premiera Tuska nie ulegało wątpliwości,

że w sprawach fundamentalnych dla bezpieczeństwa panuje w Polsce konsensus, w związku z czym stosunek Polski do NATO i relacji transatlantycznych nie podlega dyskusji. I tak jest – w przypadku polskich politycznych elit.

Dotyczy to także stosunku do wojny na Ukrainie i tym samym do Rosji. Elity pieją tu zgodnym antyrosyjskim chórem.

Minister od zagranicy i świeżo namaszczony wicepremier Radosław

Sikorski podczas konferencji ds. bezpieczeństwa w Monachium załadował z grubej rury mówiąc, że Rosja stanowi zagrożenie nie tylko dla Europy, ale całego porządku międzynarodowego... „Naszym zagrożeniem nie jest Rosja przerzucająca wojska przez Pireneje”

– odpowiedział nie bez ironii hiszpański premier Pedro Sánchez dodał, że jego rząd nie obetnie „ani centa” z wydatków na politykę spójności społecznej.

Nieco powściągliwiej od ministra Sikorskiego wypowiedział się Karol Nawrocki, uznając Rosję za największe zagrożenie dla naszego regionu, a nie dla całego świata. Nowy prezydent uważa, że należy wspierać Ukrainę w konflikcie

z Rosją – i generalnie, widać że będzie podążał starym antyrosyjskim kursem.

• • •

Z kursem tym w ścisłej symbiozie pozostaje uwielbienie wobec USA, bez względu na to, kto tam rządzi – co i tak nie ma większego znaczenia.

Ciekawym przykładem proamerykańskiego wazeliniarstwa jest wypowiedź europosła PO Michała Szczerby, który pochwalił się PAP, że ostrzegł amerykańskich kongresmenów, iż amerykańskie cła uderzają w PKB Polski, co oznacza mniej kontraktów obronnych. Był to strzał chybiony i, delikatnie mówiąc, nie do końca przemyślany. Na Amerykanach, będących czołowymi na świecie eksporterami broni, nie robi zbytniego wrażenia ewentualne – choć nierealne w świetle zwiększania przez nasz kraj wydatków zbrojeniowych – zredukowanie o jakiś procenctik sprzedaży do Polski. Z kolei z wypowiedzi europosła Szczerby może wynikać, że uważa interesy amerykańskiego przemysłu wojennego za ważniejsze od problemów polskich eksporterów, wynikające z podwyżek cła na towary z Unii Europejskiej – a więc także z Polski.

Gdyby Polska była poza UE, to – jako jeden z najbardziej proamerykańskich krajów na świecie – być może uniknęłaby podwyżki cła. Jednak jak się już wślazło do Unii, to trzeba liczyć się z tego nawet niedogodnymi skutkami, a nie tylko ciągnąć kasę z Brukseli.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Koalicja – Kanał: 0 – 1

Kto się boi Stanowskiego

Projekt autorstwa Krzysztofa Stanowskiego już na dobre zagościł na mapie polskich mediów. Kilka dni temu Kanał Zero przebił w serwisie YouTube magiczną barierę 2 mln subskrypcji. W czasie kampanii prezydenckiej treści na kanale zostały obejrzone niemal 100 mln razy, a w dniu rozstrzygnięcia drugiej tury wyświetleń było ponad 9 mln. To prawdziwa siła nie do zatrzymania – i myślę, że można śmiało stwierdzić, że Stanowski, Mazurek i spółka w pewnym stopniu przyczynili się do wyborczego tryumfu prezydenta elekta.

A to tak naprawdę wierzchołek góry lodowej wpływów nowego internetowego giganta na polską politykę. Dla strony rządowej prawdziwym problemem jest – a przynajmniej powinien być – fakt, że Kanał Zero, ze swoimi potężnymi zasięgami, skutecznie ośmiesza gabinet Donalda Tuska.

Nie całkiem Republika Bis

Złośliwi niekiedy nazywają kanał Stanowskiego nową tubą propagandową na miarę Republiki Sakiewicza. W zasadzie nie bez racji – telefony od widzów, które przeplatają kilkugodzinne wywiady prowadzone przez gwiazdy projektu, pokazują, że widownia Kanału Zero składa się w głównej mierze z pravicowców. Zarzuca mu się też dawanie głosu postaciom pokroju Brauna czy Janusza Walusia – bez ich należytego dociegnięcia. Ale skreślając K0 jako Republikę Bis, wpadamy w pułapkę lekceważenia nastrojów społecznych. Rzecz w tym, że ani Stanowski, ani Mazurek, ani żaden inny z redaktorów Kanału nie zajmują się uprawianiem partyjnej propagandy – po prostu podążają za nastrojami społecznymi w sytuacji, gdy większość elektoratu przechyla się w prawo. Kanał Zero jest raczej tubą chłopskiego rozumu i prostego przekazu, nieźle trafiającego do podatnych na emocje Polaków.

Ten format w kampanii wyborczej świetnie wykorzystwała prawica. Kilkogodzinne rozmowy z kandydatami na prezydenta, prowadzone przez Stanowskiego, dały gościom świetne pole do popisu.

Mentzen? Może jego marzenie o płatnych studiach nie brzmi najlepiej – ale na dłuższą metę w pamięci widzów zostanie nieporadne robienie jajecznic. Ekstremistyczne poglądy kandydata

Konfederacji wcale nie zniknęły na czas rozmowy – ale brak agresywnego, telewizyjnego stylu wywiadu, w którym liczy się każde słowo mogące trafić do nagłówków, pozwolił Mentzenowi pokazać bardziej oddemonizowaną postać: bardziej Sławka, z którym można iść na piwo, a nieco mniej Mentzena lewakożercy.

Nawrocki? Tu sprawa jest znacznie prostsza: Kanał Zero pozwolił mu na dobre zerwać z anonimowością. 2,3 mln widzów, które obejrzało 3,5 h rozmowy, to potężny kapitał pod względem wizerunkowym, który w ogólnym rozrachunku mógł przechylić szalę zwycięstwa na jego stronę.

Fobia Giertycha

A Trzaskowski? Wygląda na to, że stchórzył – czy to w obawie przed maglem pytań o zmienność poglądów, czy to przez ogólną niechęć Koalicji Obywatelskiej do Stanowskiego. Można podejrzewać, że w notatnikach łowców pisowców pokroju Romana Giertycha Stanowski już dawno został sklasyfikowany jako sojusznik Jarosława. Sztab Rafała Trzaskowskiego (albo on sam) na konfrontację zdecydował się bardzo późno, na samym finiszu kampanii i na własnych zasadach – bo we własnym domu. Trudno udawać, że taki plan był w głowach sztabowców od samego początku. Wygląda na to, że kandydat PO się ugiął – może pod wpływem głosów wysmiewających jego uniki, a może dlatego, że w ktoś sztabie zauważył, że zaproszenie do programu przyjęli wszyscy kontrkandydaci i głupio wygląda, kiedy „faworyt” się uchyla.

Cała ta sytuacja pokazuje niechęć do Stanowskiego i jego medium panującą w biurach Platformy Obywatelskiej. Ekipa Tuska nie kryje, że najbardziej ma mu za złe „współpracę” z PiS w czasach rządów Kurskiego w TVP. Współpraca polegała na tym, iż – poprzez spółkę Weszło TV, w której redaktor miał, razem z żoną, udziały – sprzedawał on TVP swój domyślnie transmitowany w internecie program o tematyce piłkarskiej „Stan Futbolu”. Na czym zarobił nieco ponad milion złotych. To, w połączeniu z ogólną niechęcią Stanowskiego do rządu Tuska, wystar-

czyło, by został on na dobre skreślony w oczach władz PO.

Czy Kanał Zero jest w pełni obiektywnym medium? Nie przesadzajmy. Np. w kwestii sytuacji na granicy całkowicie skupia się na grze na emocjach, co najlepiej symbolizuje obrazek reportera K0 w kamizelce Ruchu Obrony Granic krzyczącego o kryzysie imigracyjnym. Brak wyraźnego potępienia słów Brauna o Auschwitz wygląda na próbę dostosowania przekazu do gustów widzów będących w dużej mierze pravicowcami żądnymi sensacji i skrajnych emocji. Tak zdobywa się rozgłos i wyświetlenia w internecie, a bez tego pieniędzy nie ma.

Cieniactwo rządu

Rzecz w tym, że strona rządowa zdecydowała się całkowicie oddać pole rywalom. Dosadnie było to widać

w ostatniej debacie na temat migracji w K0. Z Koalicji Obywatelskiej – jak to zwykle bywa w przypadku tego typu programów w Kanale – nie było nikogo. Rząd reprezentowała bardzo słabo przygotowana ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego Adriana Porowska z Polski 2050. Rozemocjonowana Porowska, siedząc obok – co by tu nie mówić – zawsze dobrze prezentującego się w mediach Bosaka, wystawiła po prostu fatalną laurkę gabinetowi Donalda Tuska. Efekt jest taki, że Konfederacja ramie w ramie z PiS całkowicie zdominowały narrację w programie, który obejrzało już ponad pół miliona widzów.

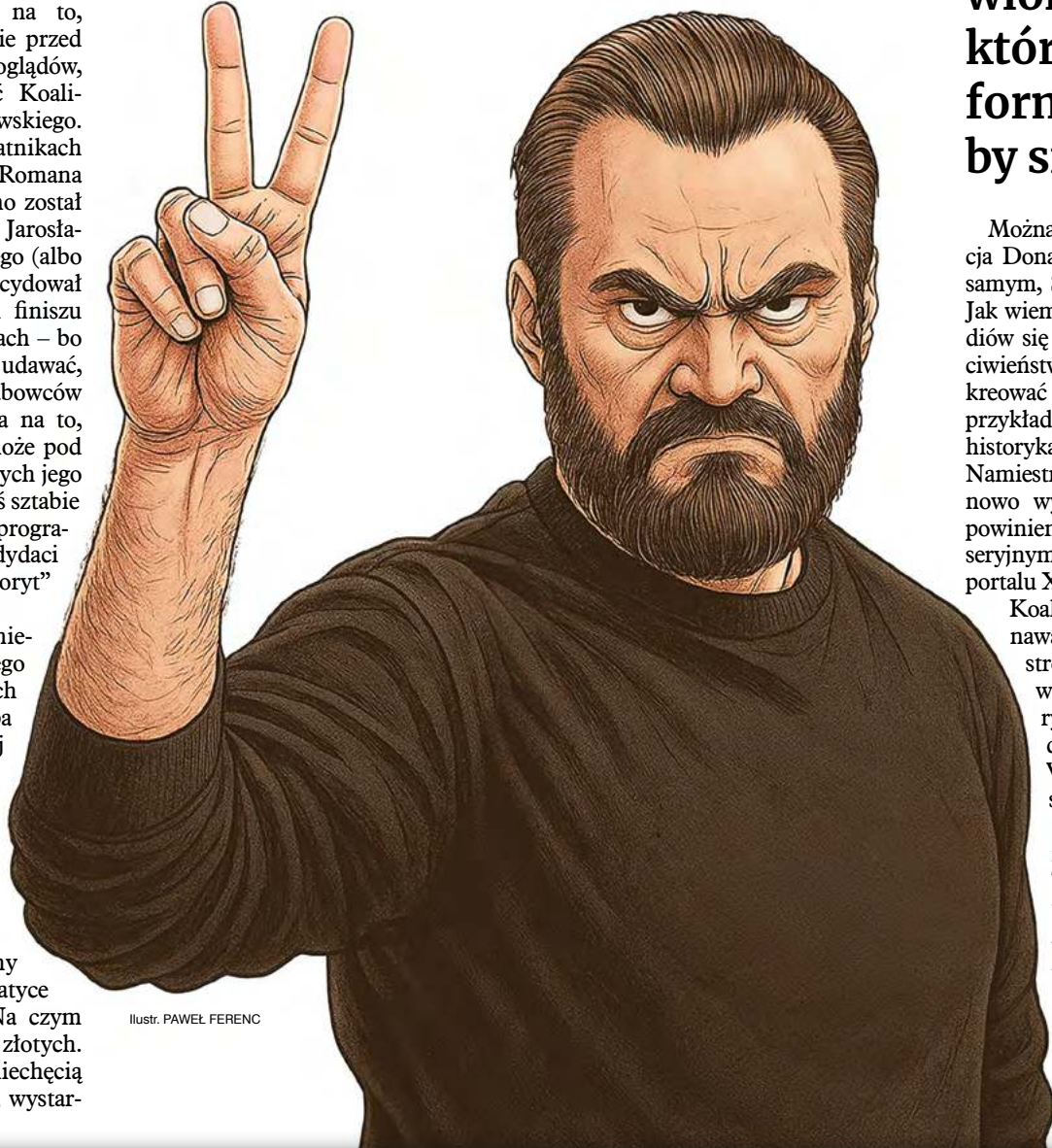
Prawica zyskuje monopol na przekaz w treściach serwowanych przez Kanał Zero – i to nie dlatego, że redakcja sama w sobie jest w większości pravicowa i konserwatywna, tylko dlatego, że strona liberalna nie umie się przebić.

Członkowie rządu są najzwyczajniej w świecie słabi merytorycznie, obciążeni wizerunkowo wszystkimi problemami Polski, a KO jako największa partia koalicji jest całkowicie pozbawiona twarzy, które w takim formacie debaty by się sprawdziły.

Można odnieść wrażenie, że formacja Donalda Tuska kończy się na nim samym, Sikorskim oraz Trzaskowskim. Jak wiemy, żadna z tych postaci do mediów się nie garnie. Kaczyński w przeciwieństwie do swojego rywala umie kreować kadry – nie ma chyba lepszego przykładu niż zrobienie z anonimowego historyka następnego lokatora Pałacu Namiestnikowskiego. W tym czasie nowo wybrany rzecznik rządu, który powinien być jego twarzą, zajmuje się seryjnym podawaniem dalej postów na portalu X.

Koalicję Obywatelską przerasta nawałnica krytyki ze wszystkich stron, ciągle spadki notowań w sondażach i przegrane wybory. Donald Tusk nie ma ludzi do stworzenia silnego rządu. W ten sposób jedynym miejscem, gdzie politycy zarówno KO, jak i rządu generalnie, mogą czuć się bezpiecznie, jest TVP, która zresztą wiele przez te kilkanaście miesięcy się nie zmieniła. Tymczasem Kanał Zero będzie rósł jako główny przekaznik pravicowej narracji w Polsce, a owoce tego zobaczymy już niedługo.

NIKODEM KUSZ



PLURALIS
MAIESTATIS

Jak kończą trzej muszkieterowie Tuska

Dotąd nie posadzałam Adama Bodnara o taką diaboliczną a inteligentną złośliwość, jaka objawiła się przy rozbiciu zburza „tablice alimentacyjne”. Wszakże opublikowanie tych tablic było ostatnią rzeczą, jaką Bodnar zrobił w Ministerstwie Sprawiedliwości. No, może jeszcze podpisał aktualnemu swemu następcy Waldemarowi Żurkowi kwitele o zrzeczeniu się przynależności do kasty sędziowskiej.

Przypomnę, że Waldek Żurek, z racji różnych życiowych perturbacji, ma w kręgach pravicowych ksywy: „Krupnik” oraz „Alimenciarz”. Kilka godzin po tym, jak okazało się, że nowe tablice proponują wyższe od zarobków alimenciarzy, niezrównany

Tnij, pan!

rzecznik rządu Adam Szłapka zaczął sprawę zamiatać pod dywan, a tablice zostały wycofane. I cóż z tego? Przecież wiadomo, że zaraz do sądów w Polsce zaczną wpływać pozwy o podwyższenie alimentów. To, że tablice alimentacyjne były tylko, hmmm... krótkotrwała sugestia, niczego nie zmieni. W dodatku część mężczyzn, którzy jednak byli wyborcami KO, z wkurwienia przemaluje się na zwolenników Konfy. Będzie to też dotyczyło ich kolejnych partnerek – następnych po tych, którym należy się alimentacja. Argument, że przecież i mężczyzna może wychowywać dziecko i dostawać od matki alimenty na rzeczne dziecko, słabo do mnie przemawia, jako że świecka tradycja pokazuje, iż generalnie w Polsce to mamy wychowują dzieci, a ojcowie na nie łożą. Z lekkim chichotem dodam, że może oto pojawia się nowa możliwość zarobków dla golibrodów zwanych obecnie barberami. Już widzę zdesperowanych facetów, którzy idą do zakładów barberskich, kładą przyrodzenie na blat i mówią: tnij pan! W każdym razie moja 80-letnia mama

zauważyła, że gdyby była w dzisiejszych czasach mężczyzną w Polsce, to by sobie profilaktycznie chuja uciąła.

Pozostając w temacie mężczyzn – przyszła krysa na Trzech Muszkieterów. Portos, czyli Nitras, został wyjebany przez Tuska z rządu. Wiadomo, że chodzi o kampanię Trzaskowskiego. Trzaskowski na FB rzewnymi łzami oplakuje imprezę zwaną gdzieś „Campus-Srampus”: „Jak wiecie, Campus Polska Przyszłości to jedna z tych inicjatyw, która może i będzie zmieniać Polskę. To tu po raz pierwszy tak wiele młodych osób realnie włączyło się w politykę. W tym roku, z powodów dosyć oczywistych, nie możemy zorganizować Campusu Polska Przyszłości w dotychczasowej formule. Bardzo za to przepraszamy, ale obiecujemy, że wrócimy w sierpniu przyszłego roku. Potrzebujemy czasu, aby zastanowić się nad tym, jak zorganizować się w zmieniającej się rzeczywistości”...

Tak, oczywiście, że Bonżur Trzaskowski to Aramis: „Dla naszych wo-

lontariuszy – twórców Campusu i jego serca – proponujemy w tym roku powrót do formuły Campus Academy. Zapraszamy Was do Międzyzdrojów w dniach 25–28 września 2025. I zaczynamy pracę nad Campusem Polska Przyszłości 2026. Do zobaczenia w Międzyzdrojach!”. Istotnie, panie Aramis, gwiazdorsko-snobistyczne Międzyzdroje zdają się miejscem idealnym na ocieranie partyjnych łez. Tylko co wy tam zaśpiewacie, chłopcy, w tym roku? Portos, Aramis, Atos? Nitras, Trzaskowski, Szłapka? Podpowiadam wam – śpiewajcie, kurwa, „Rotę”!!! Tylko ściągajcie sobie wcześniej z netu, bo tekst trudniejszy niż „Jebać PiS”.

Co zaś do Atosa – czyli kolegi Szłapki. Po jakże wspaniałej nominacji na Złote Usta Rządu (a mogłam napisać – Głębokie Gardło Rządu) zabrano Szłapce kompetencje europejskie. Kompetencje ujęte w roli ministra do spraw UE. Te kompetencje pierwotnie miały wpaść do koszyczka premiera Donalda Tuska. Tusk się jednak opanował i podarował je szefowi Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wicepremiero- wi Radosławowi Sikorskiemu. W końcu ten będzie głównym rozgrywającym – pomiędzy Trumpem a Ursulą von der Leyen, a... sławojką?

Szłapka, aby pokazać, że nie żywi urazy do Donka czy Radzia, prędko,

prędko, bo jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem nominacji, przeprowadził wywiad z Radziem w stworzonym przez siebie programie „Na pierwszej linii” (22 lipca 2025). Chwilę później Tusk ogłosił się Cortésem.

Ja tylko przypominę, że Cortés zatopił okręty, ale złota w Meksyku to znalazł tyle, co kot napłakał. Za to przywlekł syfilis.

Z drugiej strony, co tam się martwić, syf, czyli kiła, degraduje układ nerwowy i mózg. Wcześniej mózg trzeba posiadać. Nie da się go uciąć, co najwyżej można wydłubać... A dla Szłapki – pozdrowienia od mojej mamusi, która twierdzi, że dłubać nie ma co.

IZABELA SZOLC

Dotychczas zdarzało mi się myśleć, że wstyd jest być Polakiem. Teraz dochodzę do wniosku, że być Europejczykiem to też nie honor.

Skloniła mnie do tego przewodnicząca Komisji Europejskiej, która pokornie przybyła na wezwanie Donalda Trumpa do Szkocji, żeby w jego prywatnej sali balowej zgodzić się na wszystkie jego warunki: 15 proc. ceł na towary z UE bez żadnych ceł odwetowych, zakup kosmicznie drogiej amerykańskich surowców energetycznych za 750 mld dol., 600 mld dol. europejskich inwestycji w USA bez żadnej wzajemności. Trump dorzucił także info o tym, że Europa zwiększy zakupy amerykańskiej broni, choć nie powiedział o ile.

O tyle, ile wujek Donald każe – w końcu w czerwcu kraje UE, z chlubnymi wyjątkami Hiszpanii i Słowacji, trzaskając obcasami, zgodziły się na podniesienie wydatków zbrojeniowych do absurdu – do poziomu 5 proc. PKB.

Międzynarodowe sadomaso

Wydawało się, że niżej już nie da się upaść, ale przewodnicząca KE wyznaczyła nowe dno. Dodając krzywdę do zniewagi, Ursula obwołała totalną kapitulację sukcesem oraz – jak nakazuje obyczaj w relacjach między dominatorem i uległą – wyraziła wdzięczność za upokorzenie: „Chciałabym osobiście podziękować prezydentowi Trumpowi za jego osobiste zaangażowanie i przywództwo, które doprowadziły do tego przełomu”. Przełom polegać ma na tym, że Trump groził, iż cła będą wynosić 30 proc., a może 50 – a jest tylko 15, więc półdarmo.

Inni przywódcy europejscy podwinęli ogon – choć na ich korzyść trzeba odnotować, że, w odróżnieniu od Ursuli, raczej nim nie merdali. Szczególnie boleśnie wyglądało oświadczenie kanclerza Niemiec Friedricha Merza: „Porozumienie osiągnięte w negocjacjach między UE a USA w sprawie ceł pozwoliło uniknąć konfliktu handlowego, który mocno uderzyłby w zorientowaną na eksport gospodarkę niemiecką. Jedność Unii Europejskiej i ciężka praca negocjatorów opłaciły się”.

Ekonomiści są innego zdania: umowa zaszkodzi gospodarce europejskiej – analitycy z Capital Economics oceniają jej

Czemu Ursula obciągnęła Donaldowi Pomarańczowy rekieter

koszt na 0,5 PKB EU – ale też przyczyni się do amerykańskiej inflacji, jest nierównoprawna i niezgodna z zasadami Światowej Organizacji Handlu, do której USA i UE należą. Obok kwestii gospodarczych są też polityczne: kapitulacja przed pomarańczowym gangsterem łamie kręgosłup Europy, ustawia ją w pozycji podległości. Wybitny ekonomista prof. Marcin Piątkowski nazwał umowę „poniżającą dla Unii Europejskiej” i dodał, że „patrzenie na to, jak Europa sama się deklaruje w globalnym porządku, jest bolesne”. I spuentował: „Nawet po odejściu Trumpa w 2028 r. trudno będzie cofnąć cła. A jeszcze trudniej będzie ponownie

uczynić Europę silną. Ten deal powinien być kolejnym dzwonkiem ostrzegawczym – jeśli poprzednie nie wystarczyły – żeby Europa się ogarnęła”.

Śniadanie z Ursuli

Z całym szacunkiem dla wybitnej wiedzy prof. Piątkowskiego – nie wystarczyły i nie wystarczą, bo tu w ogóle nie idzie o ekonomiczne partnerstwo zmierzające do rozwoju gospodarczego obu stron. To zwykły rekieter.

Niektórzy europejscy politycy sugerują to między wierszami, a „New York Times” ostatnio napisał wprost:

„rządzące europejskie elity, zjednoczone w histerycznym strachu przed Rosją, uważają, że muszą płacić Trumpowi za ochronę.”

„Z zadowoleniem przyjmuję porozumienie, to ważny krok, który znacząco nasze partnerstwo transatlantyckie” – ogłosiła przewodnicząca PE Roberta Metsola. „Stabilność otwiera drzwi do strategicznej współpracy w zakresie wspólnych wyzwań” – dodał komisarz UE ds. handlu Maroš Šefčovič.

„NYT” nie pierdoli się w eufemizmy: „Europa akceptuje umowę handlową Trumpa, bo ma inne zmartwienia na głowie. Umowa prawdopodobnie nie wpłynie znacząco na wzrost gospodarczy po żadnej ze stron. Pozwala jednak uniknąć nowych rozdzźwięków w innych

kwestiach międzynarodowych, w szczególności wojny w Ukrainie”.

Dość skądinąd charakterystyczny jest fakt, iż deal otwarcie krytykują ci europejscy przywódcy, którzy nie drżą przed Putinem. Oczywiście Viktor Orbán – który ogłosił, że „Trump zjadł von der Leyen na śniadanie” – ale także premier Francji François Bayrou, który napisał: „To mroczny dzień, kiedy sojusz wolnych narodów, zjednoczonych dla obrony swoich wartości i interesów, godzi się na uległość”. Francja naturalnie nie ma z Rosją stosunków tak dobrych jak Węgry – ale warto odnotować, że nie dalej niż na początku lipca Emmanuel Macron zadzwonił do Putina i odbył z nim dwugodzinną rozmowę, wprawiając większość europejskich elit w stan głębokiej hysterii.

Najdroższe leki świata

Płacenie mafii za ochronę może wydawać się dobrym pomysłem z punktu widzenia kogoś, kto żyje w strachu. Kłopot polega na tym, że gangsterzy nie są nadmiernie przywiązani do przestrzegania umów i rzadko kiedy zadowolają się tym, co już dostali.

Rekieter z Waszyngtonu nie jest pod tym względem wyjątkiem. Choć trzeba mu przyznać, że – w odróżnieniu od klasycznych gangsterów – przestrzega swoje ofiary o swoich zamiarach.

Tydzień przed szkodliwymi negocjacjami Trump wygłosił w Białym Domu w świetle kamer tekst następujący: „Pracujemy teraz bardzo ciężko, aby skłonić inne kraje do podniesienia cen leków, a firmy farmaceutyczne do tego, żeby im to zaproponowały. Jeśli firmy tego nie zrobią, będą miały wiele problemów. A jeśli kraje tego nie zrobią, na przykład Europa, powiem: »W porządku, nie możecie już sprzedawać swoich samochodów w Ameryce. Nie wolno wam już sprzedawać Mercedesa, BMW, Volkswagena ani żadnego innego«. A oni na to powiedzą: »Och, bardzo nam się podoba pomysł niższych cen leków dla Ameryki«...”

Przejdźmy na chwilę do porządku dziennego nad faktem, iż Przywódca Wolnego Świata głośno wypowiada dialogi, jakie toczy w swojej głowie z wyimaginowanymi rozmówcami niczym porzucona przez chłopaka licealistka, która fantazjuje o tym, jak mu wygrać, kiedy go wreszcie spotka. Skupmy się na meritum.

Meritum jest takie, że Amerykanie płacą za leki najwięcej na świecie: 3–4 razy więcej niż w 33 innych krajach rozwiniętych. Średnio – bo na przykład Ozempic w Europie kosztuje 100 dol., a w Stanach 1300.

Pasienie big farmy

Dzieje się tak dlatego, że kraje naprawdę rozwinięte mają publiczną służbę zdrowia – w USA nazywaną „systemem jednego płatnika” – i cenę leków z koncernami farmaceutycznymi negocjuje rząd, bo to rząd płaci: w formie programów lekowych dla szpitali, leków refundowanych etc. Ameryka nie ma publicznej służby zdrowia ani żadnej prawnej formy regulacji cen, toteż stanowi eldorado dla chciwości big farmy: w zeszłym roku koncerny farmaceutyczne zarobiły na amerykańskich pacjentach 100 mld dolców.

Pomysł Trumpa sprowadza się do tego, żeby zakazać europejskim rządów negocjowania z big farmą. Bo europejscy negocjatorzy „są najtwardsi ze wszystkich, są wredni” i dopuszczają się „wymuszenia na firmach farmaceutycznych poprzez blokowanie ich produktów, chyba że zaakceptują bardzo niskie kwoty”. Wobec czego „amerykańscy pacjenci subsydują socjalistyczne systemy opieki zdrowotnej w Niemczech, w całej UE”.

Tak dla porządku: przemysł farmaceutyczny jest obecnie jedną z najbardziej dochodowych branż na świecie; wartość rynku szacowana jest na 1,3 bln euro. Johnson & Johnson, światowy lider, miał w 2024 r. zysk netto w wysokości 14 mld dol., francuski Sanofi odnotował marżę operacyjną w wysokości 27,6 proc. Bezsilność USA wobec tych skurwysynów to efekt politycznej decyzji o odrzuceniu systemu jednego płatnika, podyktowanej interesami towarzystw ubezpieczeń medycznych, przysrajanej w opowieści o wolnym wyborze i grozie socjalizmu.

Ale mniejsza o to. Pytanie brzmi: czy kiedy Trump zakaże europejskim rządów negocjowania z big farmą, Ursula von der Leyen ponownie nadstawi roraw? I ilu pacjentów umrze, bo szpitali i ich samych nie będzie stać na leki? Czy może wtedy ktoś w Europie – żeby zacytować prof. Piątkowskiego – się ogarnie?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Goebbels po izraelsku

Ludobójcy i ich propaganda

Ministerstwo Spraw Zagranicznych Izraela postanowiło przekroczyć granicę własnej beczelności i załaziło internet filmami propagandowymi, w których winę za klęskę głodu w Gazie zrzuca na ONZ.

Rozmydlanie

20-sekundowy film w języku polskim, włoskim, niemieckim i angielskim pojawił się na kontaktach ambasady i MSZ Izraela na platformach X, Facebook i w serwisie YouTube 25 lipca. „Izrael dopuścił setki ciężarówek, które wjechały do Gazy, a ONZ odmawia rozdzielania pomocy. Ciężarówki stoją beczynnym w Gazie, a obok nich rosną góry niewykorzystanych towarów. To jest celowy sabotaż ONZ. ONZ! Rozdziel tę pomoc teraz!” – głosi komunikat w materiale upstrzonym zdjęciami piętrzących się na gigantycznym placu pakunków z żarciem.

Żeby wybielanie eksterminacji Palestyńczyków przez zagłodzenie dobrze zassało, rząd Izraela rzucił monetą w serwis YouTube i film wyświetla w formie reklamy, dzięki czemu osiąga miliony zasięgi. Czy może być jeszcze bardziej obrzydliwie? Oczywiście.

Reklamę przypisano do kategorii tematycznej zwalczania szkodników i chwastów.

Od początku wojny między Izraelem a Hamasem w Strefie Gazy zginęło prawie 60 tys. osób. Żeby dopełnić dzieła depopulacji palestyńskich

obywateli, izraelski okupant jako metodę walki obrał głodzenie ludności cywilnej. Szczątkową pomoc wydzielaną przez działającą pod egidą Izraela i USA organizację Gaza Humanitarian Foundation, wprowadzono do enklawy w zastępstwie sprawdzonych międzynarodowych instytucji – twierdząc, że zaopatrzenie płynące kanałami ONZ przejmują Hamas. Właśnie się okazało, że to gówno prawda.

Amerykańska agencja rządowa USAID nie znalazła dowodów na to, że członkowie Hamasu kładli łapy na dostawach pomocy humanitarnej w Strefie Gazy. Eksperti z organizacji przeanalizowali ponad 150 przypadków, w których finansowana przez USA pomoc została skradziona albo zgubiona między październikiem 2023 r. a majem tego roku. Z analizy wynika, że w co najmniej 44 przypadkach pomoc zaginęła „bezpośrednio albo pośrednio” z powodu izraelskich działań zbrojnych. Identyfikując informacje zamieścić „The New York Times”, powołując się na kilka niezależnych źródeł, w tym izraelskiej armii.

Biuro ONZ ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej oszacowało, że w ciągu dwóch miesięcy przy próbach zdobycia żywności, w większości w pobliżu punktów wydawania pomocy GHF, z rąk izraelskich żołnierzy i uzbrojonych ochroniarzy fundacji zginęło ponad tysiąc osób, a wiele zostało rannych. Philippe Lazzarini, szef pomagającej Palestyńczykom agencji ONZ UNRWA, poinformował pod koniec lipca, że już ponad 100 mieszkańców enklawy – w zdecydowanej większości dzieci – zmarło z głodu. Organizacja podała, że jedno na pięć osób bachorząt w Strefie Gazy cierpi z niedożywienia, więc liczba ofiar pustej miski może zwiększyć się lawinowo.

Bibi kontra UE

Analitycy i aktywiści zwracają uwagę, że wolumen dostaw odblokowanych po całkowitej blokadzie z 2 marca jest dramatycznie niewystarczający w zestawieniu z potrzebami. Do Gazy powinno wjeżdżać kilkaset ciężarówek dziennie; od maja jest ich średnio 70.

21 lipca rządy Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii we wspólnym oświadczeniu wezwały Izrael

do natychmiastowego zniesienia ograniczeń przepływu pomocy humanitarnej. Dzień wcześniej prezydent Francji Emanuel Macron zapowiedział, że Paryż formalnie uzna państwo palestyńskie we wrześniu, co doprowadziło do wkurwu Izrael i USA, a przy okazji subtelnie zamieszało w europejskim kotle. Wiewiórki donoszą, że dwóch wysokich rangą polityków Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) – koalicjanta kanclerza Niemiec Friedricha Merza – wezwało rząd do wstrzymania eksportu broni do Izraela i przyłączenia się do europejskich wysiłków na rzecz zawieszenia umowy stowarzyszeniowej UE z tym krajem (daje ona Izraelowi m.in. uprzywilejowany dostęp do unijnego rynku, co czyni Unię Europejską jego największym partnerem handlowym). Z rosnącymi żądaniem ze strony ponad 200 posłów różnych partii w kwestii uznania państwa Palestyny mierzy się również brytyjski premier Keir Starmer.

Beniamin Netanjahu póki co pozdrawia ich wszystkich środkowym palcem.

25 lipca Izrael nie tylko uruchomił wyjętą z dupy kłamliwą propagandę, ale poinformował, że pozwo-

li wznowić zrzuć pomocy z powietrza przez Jordanię i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Brytyjski rząd zasygnalizował, że jest gotów wesprzeć taką operację. Międzynarodowe organizacje ostrzegły jednak, że zrzuć są ryzykowne i kosztowne, więc nie są w stanie zastąpić regularnych dostaw lądowych. Lazzarini słusznie stwierdził, że propozycja ma jedynie odwrócić uwagę od beczelności Izraela.

Piraci z IDF

27 lipca izraelskie wojsko przechwyciło łódź Handala z pomocą humanitarną, która próbowała przełamać blokadę i dotrzeć do Strefy Gazy. Jednostkę należącą do Koalicji Floty Wolności (międzynarodowej inicjatywy, którą tworzą palestyńskie organizacje humanitarne z 14 krajów) zatrzymano na wodach międzynarodowych ok. 40 mil morskich od wybrzeży Strefy Gazy. Na pokładzie łodzi znajdowało się mleko dla niemowląt, żywność i leki. Armia izraelska zatrzymała 21 aktywistów i dziennikarzy z 10 krajów oraz skonfiskowała cały ładunek – choć nie ma jurysdykcji nad wodami, po których poruszała się jednostka.

FFC już wcześniej podejmowała wysiłki na rzecz dotarcia do Strefy Gazy drogą morską. Na początku czerwca izraelscy okupanci przejęli należący do organizacji jacht Madleen.

Ponad 100 organizacji pozarządowych z całego świata zaapelowało o natychmiastowe i zdecydowane działania wszystkich państw w celu wypełnienia ich prawnych i moralnych zobowiązań oraz zapewnienia pełnego dostępu do pomocy humanitarnej w Strefie Gazy. Organizacje wzywają do otwarcia wszystkich przejść granicznych, przywrócenia przepływu żywności, czystej wody, środków medycznych, artykułów pierwszej potrzeby i paliwa zgodnie z zasadami ONZ, zakończenia blokady i natychmiastowego zawieszenia broni. „W wyniku blokady Strefy Gazy przez rząd izraelski pracownicy i pracownice organizacji humanitarnych dołączają do kolejek po żywność, ryzykując śmierć z rąk żołnierzy, aby nakarmić swoje rodziny. W związku z całkowitym wyczerpaniem zapasów organizacje humanitarne zmuszone są patrzeć na to, jak ich koledzy i partnerzy umierają na ich oczach” – można przeczytać w apelu. Pytanie, czy Europa zdecyduje się na ruch bardziej radykalny niż symboliczne gesty, pozostaje otwarte.

IDALIA DUBICKA

1 sierpnia – święto upośledzone

Narodowy Dzień

Dnia

Narodowego

Na początku obecnego tysiąclecia mieliśmy trzy święta państwowe: 1 Maja, czyli Święto Pracy – jedyne, jakie ostało się po nieboszczce komunie; 3 Maja – noszące oficjalne miano Święta Narodowego Trzeciego Maja oraz 11 Listopada o nazwie Narodowe Święto Niepodległości.

Wszystkie one były świętami radosnymi, albo wiem nie szło się w nie do roboty.

W roku 2005 ktoś z posłów lewicy doczytał konstytucję i ustawy i wygłównował, że w polskim prawie nie bronie, żeby świętem mógł być każdy dzień i z każdej okazji, zwłaszcza że dzień święta państwowego wcale nie musi być dniem wolnym od pracy. Szły wybory i lewicowy rząd postanowił przekonać do siebie solidarnościowy elektorat, przegłosowując, że od tej pory po wsze czasy 31 sierpnia będzie w Polsce czczony państwowo jako Dzień Solidarności i Wolności. Data wzięła się stąd, że tego dnia w 1980 r. Wałęsa z Jagielskim podpisali Porozumienia Gdańskie. Tym sposobem pojawiło się u nas pierwsze święto państwowe, które nie miało czerwonej kartki w kalendarzu. Nikt też nie wiedział nawet, czy tego dnia wywieszać, czy nie wywieszać flag na budynkach publicznych, co dotychczas było wpisane w celebrację państwowego święta. IV RP postkomunistyczny pomysł nie podchwyciła. Zaś koalicja PO–PSL – jak najbardziej.

Dlatego od 2009 r. 1 sierpnia jest świętem państwowym, w którym Rzeczpospolita obchodzi Narodowy Dzień Pamięci Powstania Warszawskiego. W przeciwieństwie do państwa jego obywatele święta nie obchodzą, bo nie zyskało ono statusu dnia wolnego. Dokładnie tak samo jest z 1 marca, znaczy Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych. To z kolei był pomysł nie parlamentarzystów, tylko prezydenta Bronisława Komorowskiego. Święto wyklętych też od początku było dniem roboczym.

Ostatnim świąteczno-państwowym dokonaniem PO–PSL z 2015 r. był 8 maja. Narodowy Dzień Zwycięstwa wypadało bowiem obchodzić wraz z zachodnimi aliantami dzień przed Ruskimi, a tu

okazało się, że data pokonania Niemiec nazistowskich nie ma u nas żadnego statusu.

W roku 2015 pojawił się najpierw prezydent Duda, a potem dobra zmiana. Bilans otwarcia świąt państwowych wynosił sztuk siedem. Trzy święta wolne od pracy i cztery, o których pamiętali tylko zainteresowani i media. Po ośmiu latach rządów PiS-u świąt wprowadzonych przez tę partię było już osiem.

Teraz, gdy Platforma znowu jest przy władzy, dewaluacja państwowego świętowania pracą obrodziła w dwa kolejne: Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej (żeby zneutralizować gloryfikowanych przez PiS żołnierzy wyklętych) i Narodowy Dzień Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej – żeby zadowolić każdego, kogo się da.

A może dewaluowanie dumnego miana święta państwowego nie jest takie głupie? Wszak 14 lutego ukochani prężą muskuły, kwiaty przewracają się w hurtowniach, a w sklepach spożywczych serduszka migocą w promocyjnej cenie. Wszystkie jak co roku. Ale zaraz, zaraz! To przecież nie walentynki, ale Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej. No i Dzień Chorych na

Padaczkę, Dzień Wiedzy o Wrodzonych Wadach Serca oraz – jakby tego było mało – Międzynarodowy Dzień Dojeżdżania Rowerem Do Pracy Zimą. I jak ktoś uważa, że AK jest w stanie wygrać ze św. Walentym, to chyba jest polskim politykiem.

Całkiem inaczej jest z 19 lutego, kiedy to obchodzimy Dzień Nauki Polskiej. Święto ważne, bo nauka to przyszłość. A że nikt nie pamięta o tym święcie? Trudno, bo to jeden z nielicznych dni, kiedy wydumane w sejmie święto nie ma żadnej międzynarodowej konkurencji.

A już 1 marca – proszę państwa – Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. To akurat święto medialne, polityczne, a dla wielu również kontrowersyjne. Ale dla tych, którzy żołnierzy nie czczą, pozostaje alternatywa: bo ta data to dla świata Dzień Puszystych, Zero dla Dyskryminacji, Międzynarodowy Dzień Prztytulanii Bibliotekarza, a nawet Światowy Dzień Trawy Morskiej. Można więc spokojnie wybrać, czy woli się czcić „Burego”, czy uhonorować brunatnicę.

24 marca? Narodowy Dzień Pamięci Polaków ratujących Żydów. Ważne. Ale w tej dacie czai się Światowy Dzień Gruźlicy, Narodowy Dzień Życia, Europejski Dzień Lodów Rzemieślniczych i Międzynarodowy Dzień Prawa do Prawdy. Jeśli ktoś nie lubi lodów, może po prostu świętować uczciwość. A jeśli nie lubi uczciwości, zawsze zostaje gruzlika.

14 kwietnia mamy Święto Chrztu Polski. Narodowy sakrament rzecz święta. Ale ten sam dzień to także Dzień Delfina, Dzień Ludzi Bezdolnych oraz Dzień Patrzenia w Niebo. Świętowanie chrystianizacji można więc rozpocząć od medytacji pod chmurką, przytulając bezdomnego delfina.

1 maja – Święto Pracy. Ale też Ogólnopolskie Święto Kaszanki, Dzień Partyzanckiego Sadzenia Słoneczników, Święto Konwalii i Światowy Dzień Hasła. W ten sposób lewicowcy mogą śmiało maszerować pod hasłem: „Żądamy Pracy, Kaszanki i Bezpiecznego Logowania”.

3 maja? Święto Konstytucji! Ale także Dzień bez Komputera, Dzień Astmy i Alergii, Dzień Słońca, Dzień Dronów i Światowy Dzień Nagiego Ogrodnictwa. Cóż, konstytucja konstytucja, ale jeśli ktoś tego dnia postanowi obchodzić na golasa z konewką w ręku – droga wolna.

8 maja – Narodowy Dzień Zwycięstwa. Ale też Dzień Bibliotekarza, Światowy Dzień Osła i Walki z Rakiem Jainika. Lista tak zróżnicowana, że można wygrać wojnę, wypożyczyć książkę,

uczcić osła i zatroszczyć się o jainiki – wszystko przed obiadem.

20 czerwca – Narodowy Dzień Powstań Śląskich. Ale też Światowy Dzień Uchodźcy. Można więc, w zależności od preferencji, oddać hołd powstańcom albo uchodźcom. A jak się człowiek uprze, to obu jednocześnie.

11 lipca? Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA. Ale również Światowy Dzień Ludności i Dzień Kebaba. W zależności od nastroju – można więc oddać się zadumie lub kebabowi.

1 sierpnia – Powstanie Warszawskie. A równolegle: Światowy Dzień Karmienia Piersią, Międzynarodowy Dzień Piwa i Piwowara oraz Dzień Sieci Internetowej. Świętować można więc powstańczo, piwarsko lub laktacyjnie. Wybór jest.

15 sierpnia – Święto Wojska Polskiego i Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny. Całkiem bezkonkurencyjne jeśli chodzi o światowe obchodzenie tego czy tamtego.

31 sierpnia – Dzień Solidarności i Wolności. Ale też Dzień Blogów i Święto Kawalerii Polskiej. Kto ma zatem konia i komputer, może świętować jak należy.

10 września – Dzień Polskich Dzieci Wojny, ale też Światowy Dzień Zapobiegania Samobójstwom i Dzień Piłkarza.

19 października – Dzień Pamięci Duchownych Niezłomnych. I uwaga, znów zupełnie bez konkurencji.

11 listopada – Święto Niepodległości. Ale też Japoński Dzień Singla, Dzień Służby Cywilnej i Święto Orderu Wirtuti Militari. Jak widać, tego dnia nawet samotność można nosić z godnością.

27 grudnia – Dzień Zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego. Ale też Dzień Keksa. Kto zatem powstaje z ciastem w ręku, czyni słusznie.

Z narodowej pompy, mnożeniem państwowych dat celebrzowano pompkę do balonów. Narodowych świąt mamy w cholere, ale nikt o większości z nich nie wie. A jak wiadomo,

najlepsze święto to takie, które można spędzić w domu. W piżamie. Z kebabem. Albo kaszanką. Czy nawet lodami rzemieślniczym. Tylko trzeba je nazwać Narodowym Dniem Dnia Narodowego i zrobić wolnym od pracy.

TOMASZ BOROWIECKI

Szkoła dla gówniarzy

Nowacka do Finlandii. Po naukę.

Ministerstwo Edukacji Narodowej ogłasza właśnie „Reformę26. Kompas jutra”. Brzmi poważnie, ale w praktyce to miks starych pomysłów, trochę nowinek i nadziei, że jakoś to będzie. Obiecują nowe przedmioty, mniej centralizmu, więcej praktyki i luzu w ocenianiu. Super, zwłaszcza po dekadach szkolnej posuchy i chaosu. Ale czy to wystarczy?

Szkoła w Polsce nie wysypała się przez jednego ministra z zapalem katechety – choć Przemysław Czarnek bez wątpienia dołał benzyny do tłącego się już ognia. Problem jest głębszy i starszy niż jego cytaty o cnotach niewieścich i podręczniki pisane z różańcem w zębach. To dekady przestarzałych programów, zamordyzmu pedagogicznego i fikcji o szkole dla wszystkich, która tak naprawdę działa najlepiej dla tych cichych, pokornych i z korepetycjami (czyli klasy średniej, aspirującej). Czarnek po prostu dał temu chaosowi twarz i nazwisko, ale gnijące fundamenty edukacji kładli jego poprzednicy, wszyscy po trochu. Reforma nie może więc polegać na sprzątaniu po jednym człowieku, tylko na generalnym remoncie systemu, który przestał być szkołą, a stał się instytucją do selekcji, oceny i dyscyplinowania młodych ludzi.

Na scenę wchodzi Barbara Nowacka z misją, żeby szkołę trochę odgruzować. Nie zażdroszczyć. Po Czarnku zo-

stała nie tylko ideologiczna zadyma, ale i cały układ zamknięty: zabetonowani decydenci, kuratoria jak z czasów PRL i nauczyciele, którzy swoją władzę nad uczniami traktują jak ostatnią rzecz, której nikt im jeszcze nie zabrał. A przecież trudno zrezygnować z pozycji, w której można stawiać jedynek, wygłaszać kazania i jeszcze kazać klaskać za to, że się przyszło na lekcję. Przypomnijmy sobie ryk

belfrów, gdy Nowacka ukróciła prace domowe w podstawówkach... Zamach na świętości!

Kiedy MEN mówi, że w przedszkolach zatrudni osoby bez przygotowania pedagogicznego, ja słyszę: „nie mamy na nauczycieli, ale dajmy komuś 3800 zł brutto i nazwijmy to zmianą”. Łączenie klas 1–3? To nie innowacja, to cofka do czasów, kiedy dzieci siedziały w ławce razem z kozłem.



Rys. TOMASZ WIATER

Warto docenić, że Nowacka zaproponowała redukcję lekcji religii. Zamiast dwóch godzin tygodniowo od września będzie tylko jedna. Katecheci nadal więc mogą w szkole szerzyć swoją ideologię za nasze pieniądze.

Finlandia – którą serdecznie polecam uwadze ministrowi Nowackiej – poszła znacznie dalej. Religię zastąpiono tam całkowicie fakultatywnymi lekcjami etyki i wartości, bez ocen z wiary i klechy przy tablicy. Nowacka zrobiła pierwszy ruch, ale by naprawdę odetchnąć, trzeba wyrwać religię z programu raz na zawsze, a nie tylko obciąć jedną godzinę.

I na tym się nauka w Finlandii nie kończy. Tam nie ma ocen aż do 15. roku życia, dzieci mają luz i wolność, a nauczyciele są traktowani jak profesjonalści, a nie strażnicy dyscypliny.

W Finlandii dzieci uczą się mniej, ale za to lepiej. Mają mniej stresu i więcej czasu na rozwój. Finowie twierdzą, że celem ich systemu nauczania jest dobrostan ucznia.

U nas tymczasem szkoła to arena strachu, a dzieci traktuje się jak podejrzanych. Którym Hołownia zabierze komórki.

Fińska szkoła zabrała część władzy nauczycielom, ale nie po to, by dać ją dyrektorom czy kuratoriom, tylko po to, by szkoła była miejscem współpracy i zaufania. U nas wciąż obowiązuje zasada: „pan ma zawsze rację”. Nauczyciel egzaminuje, karze, kontroluje – to taki nauczycielski trójpodział władzy w miniaturze.

Dopóki nauczyciel jest i katem, i sędzią, i prokuratorem, i strażnikiem, żadnej reformy nie będzie. Potrzebujemy szkoły, gdzie dziecko ma więcej praw niż belfer. Gdzie nauczyciel uczy, pedagog wspiera, a oceny są co najwyżej informacyjne. Gdzie rady uczniów mają realny głos, a nie są dekoracją.

Polski system edukacji to sortownia: jeśli nie jesteś grzeczny, cichy i bezbłędny – jesteś out. Zamiast indywidualizacji mamy „indywidualny tok”, czyli pułapkę dla zdolnych, którzy przeskakują w wypełnianiu rozbuhaną podstawy programowej napisanej przez kogoś, kto dawno zapomniał, jak wygląda dziecko.

Pomysły Nowackiej są dobre, ale do szkoły, która już nie istnieje. Jej reformy to stemple na rozlatujący się budynek. Finlandia zrobiła tę robotę dekadę temu. Może zamiast produkować kolejny „program dla kreatywnych”, zapytajmy Finów, jak wy to, kurwa, zrobiliście?

Bo dopóki szkoła to nie rozwój, tylko odhaczanie podstawy programowej, każdy minister – nawet taki jak Nowacka – będzie tylko gasić pożar wiaderkiem bez wody.

DAMIAN DUSZCZENKO

Mój pierwszy Murzyn

Zanim koronowano ją na Królową, była „nielegalną migrantką”

Pierwszy raz Murzyna na żywo zobaczyłem w 1966 r. W domu rodziców moich. W świętym mieście Częstochowie. Był znajomym warszawskiej koleżanki mojej siostry.

Siostra wybierała się na bal maturalny. W jej liceum panował ostry niedobór chłopaków. Na co dzień jakoś dało się go załatać chłopakami z miasta. Ale najważniejszego w dotychczasowym życiu balu nie wypadało opędzić byle kim. Najwyżej notowani byli chłopcy spoza świętego miasta. Zwłaszcza z Krakowa, choć ci z Radomska też spełniali standardy.

Niech żyje bal

Trzeba przypomnieć, że w tamtych latach Murzynów w świętej Częstochowie nie było. Ani w Radomsku, Kielcach czy Koniecpolu. Podobno widywano w Krakowie, Gliwicach czarnoskórych studentów, ale mogli to też być górnicy po szychcie. Trudno też było o czarnoskórych w ówczesnej telewizji. Nadawała wtedy tylko jeden program. Czarno-biały zresztą.

Po prezentacji Murzyna rodzicom siostra poszła z nim na bal. Na piechotę, bo murzyńskich uberów też wtedy nie było.

Nic dziwnego, że przed każdą bramą na całej ulicy Ogrodowej wyczekiwały grupy sąsiadek. Niektóre przezornie krzesła z domów przyniosły. Podobnie było na placu komunisty Marcelego Nowotki i w Alejach Najświętszej Maryi Panny. Tak liczne tłumy gapiów zebrał potem jedynie papież-Polak podczas swej pierwszej pielgrzymki w 1979 r.

Po balu siostra odsypiała, a mojej Mamusi obciach pozostał. Moja rodzina prowadziła wtedy piekarnię „Leon Gadzinowski” na Ogrodowej 48. Tatuś piekł chleb najlepszy na świecie, a Mamusia go sprzedawała. Z naszą pomocą.

Po balu co druga klientka przy zakupach hejtowała Mamusię za publiczne prowadzenie się siostry z Murzynem.

Na próżno Mamusia wyjaśniała, że ów Murzyn tak naprawdę nie był prawdziwym Murzynem, tylko Mula-tem. Czyli aż pół białym i tylko pół Murzynem. Wzorowym studentem warszawskiej uczelni z Kuby.

Ówczesna sąsiódka opinia publiczna zgodnie orzekła, że tym Murzynem

siostra przekroczyła wszelkie granice przyzwoitości. Dziwiąc się, jak mogła z obcym Murzynem cały bal wytrzymać.

Niestety zaraz po balu Murzyn wrócił do Warszawy, by dalej studiować w tradycyjnie gościnnej Polsce. Nie miałem szansy zapytać go, jak udało mu się znieść cały bal z moją siostrą. I nie mam szans na to, bo w pamięci rodzinnej jego personalia, nawet imię jego, się nie utrwaliły. Pozostał jedynie Murzynem.

Gitarą, piórem, szukaniem

Drugi raz Murzynów na żywo widziałem w 1976 r. w Świnoujściu. Tam

podczas festiwalu FAMA zjeżdżali się artystycznie uzdolnieni polscy studenci. Była to moja pierwsza FAMA. Buntownicza i nonkonformistyczna. Podczas włóczenia się po mieście trafiliśmy z kolegami do internatu Zasadniczej Szkoły Rybackiej. Były wakacje, zastaliśmy tam jedynie czarnoskórych chłopaków z Angoli.

Zauważyli gitarę naszego kolegi, przynieśli swoje. Zaczęli nam śpiewać zasady polskiej gramatyki przerobione przez nich na rytmiczną piosenkę. Niekończąca się, bo reguły polskiej gramatyki są jak brazylijski serial. Długie i pełne zaskakujących niespodzianek.

Zauważyliśmy wtedy, że oni śpiewając znają polską gramatykę. Lepiej niż niejeden zdeklarowany Polak-patriota. Gdyby Polacy więcej śpiewali afrykańskich rytmów, pewnie lepiej mówiliby po polsku.

Podczas studiów mieszkałem w warszawskim akademiku „na Żwirkach”. Królował tam Sudańczyk o ksywce Staś. Był najsukuteczniejszym playboyem. Dziewczyny ustawiały się w kolejce do niego. To nie dziwiło wtedy, bo w gospodarce niedoboru podobne

kolejki, listy społeczne nawet, były po wszystko, co deficytowe. Pralki, lodówki, komplety mebli, i po Stasia też.

Muszę przypomnieć, że czarnoskóry Staś nie był rasistą. Spotykał się nie tylko z białymi Polkami, także ze śniadymi koleżankami z Ekwadoru, z uczestniczkami wielonarodowej delegacji radzieckiej. Nawet ze studentkami z NRD, które były przez patriotycznych Polaków pogardzane jako Niemki gorszego sortu i towarzysko bojkotowane. W przeciwieństwie do pożądaných Niemek z RFN.

Nie był też Staś homoseksualistą, zatem nie było mowy o jakimś moralnym zgorszeniu.



Niestety, mieliśmy wtedy kooperację z uniwersytetem w Helsinkach. Raz przyplłynęła do nas delegacja Finek. Staś zrobił swoje. Kilka miesięcy potem wsiadł na prom. Pozostaje po nim wyrwy studenci Polacy nie byli już w stanie, nawet zbiorowo, zasypać.

Zła osoba

Od 1979 do 1982 r. w studenckie wakacje pracowałem na czarno, czyli nielegalnie, w Belgii, Holandii, Francji, Wielkiej Brytanii. Mieszkałem tam w tanich dzielnicach, gdzie polscy biali byli „nielegalnymi migrantami”.

Czułem się zakompleksiony, bo ci czarni, a nawet ci „ciapaci”, znali więcej i lepiej zachodnich języków niż polska brać. Mieli też liczne praktyczne umiejętności. Lepiej kładli tapety, znali nowoczesną hydraulikę, zachodnie radia i telewizory potrafili naprawić. Jedyne, czego nie umieli, to wyrecytować „Reduty Ordon” z pamięci.

Byli też wtedy lepiej od Polaków zorganizowani. Mogli liczyć na pomoc w znalezieniu pracy, wsparcie środowiskowe w razie wypadku lub innych kłopotów. Ówczesni na czarno pracu-

jący Polacy zdobyte adresy potencjalnych miejsc pracy chomikowali na zasadzie psa ogrodnika. Nie dzielili się z rodakami, nie wspierali ich, mogli jedynie pożyczyć pieniądze na procent.

W Londynie pracowałem jako akwizytor. Biegałem po piętrach bloków i wiskałem usługę „Portret foto”. Czyli zrobienie zdjęcia portretowego oprawionego na bogato w ramkę. Miałem taką demonstracyjną ramkę.

Z jednej strony był fotoportret „typowej angielskiej rodziny”. Kark, blondyna, trójka dzieci o twarzach nieskazonych myśleniem. Na drugiej był portret słodziaka. Murzynka z fryzurą afro. Jeśli drzwi otworzył mi biały, to zachęcałem do usługi wizerunkiem „angielskiej rodziny”. Jeśli nie biały, to wabiłem Murzynkiem. Ten słodziak był skuteczniejszy od gromady białasów.

W Ghanie spędziłem ponad miesiąc. Poza klimatyzowanymi hotelami, luksusowymi autokarami, eleganckimi te-

renowcami. Bywałem w miasteczkach, gdzie budziłem zdumienie, jak tamten Kubańczyk w mojej Częstochowie. Obcy skaryfikowany kolorem skóry. Zwany często *obroni*. Co tłumaczone jest jako „biały” lub „cudzoziemiec”. Poprawność polityczna nie pozwala przypomnieć, że słowo pochodzi od *abr nipa*, co znaczy „zła osoba”.

W Ghanie często musiałem wyjaśniać, że *obroni* są różni. Wielonarodowi, z różnych państw. Mój zięć z Republiki Irlandii zawsze tak tam się przedstawiał: „Jestem Irlandczykiem. My też byliśmy angielską kolonią”.

Polska była tam czasem kojarzona z państwem gościnnym dla afrykańskich studentów. W miejscowych podręcznikach biologii zagościła „świnia rasy polskiej”. Topowy gatunek, komplement dla świni.

W Ghanie spotykałem miejscowych facetów uważających białe kobiety za wyjątkowo brzydkie. Odrażające wręcz, zwłaszcza kiedy po opalaniu się ich skóra nabiera czerwonej barwy. „Wyglądają, jakby obdarto je ze skóry” – krzywili się. Jeśli już seks z takimi, to tylko za pieniądze.

Sto lat za

W polskich kabaretach popularny był szlagwort: „My wam węgiel, a wy nam banana”. Miał dowodzić wyższości cywilizacyjnej Polaków, którzy z musu lub litości sprzedają obcym poszukiwane na świecie „czarne, polskie złoto” za byle banany. Takie murzyńskie kartofle. Czas pokazał, że banany dalej mają rynki zbytu i ekonomiczną przyszłość, a handel polskim czarnym złotem jedynie wielce obciąża budżet polskiego państwa.

Jest też popularne samobiczujące się stwierdzenie: „W tym jesteśmy sto lat za Murzynami”. Czyli na dzień dzisiejszy.

Rzeczywiście wiele razy słyszałem Murzynów mówiących po polsku lepiej od polskich Polaków. Wiadomo, że czarnoskórzy znają więcej i lepiej zachodnich języków od tutejszych Polaków. Podziwiamy czarnoskórych zawodników piłkarskich lig w Europie, czyli też w Polsce. I wszystkich innych cudzoziemców tam. Pamiętam powszechny smutek żeńskiej połowy dwóch warszawskich akademików, kiedy Staś z Sudanu wyemigrował do Finlandii.

Dlatego słysząc popularne dziś hasło „Polska dla Polaków”, słyszę tych polskich nieudaczników, którzy nie potrafią opowiadać śpiewająco polskiej gramatyki. Nie „umiom” i nie „rozumiom” obcych języków i kultur.

Nie mają charyzmy jak Staś Sudańczyk.

Skowyt „Polska dla Polaków” to wezwanie do ustanowienia cel zaporowych. Chroniących leni i nieudaczników. Bojących się, że przyjdzie Arab i ich zmuszłmani, zamiast cieszyć się, że będzie kogo nawrócić na katolicką wiarę.

I Murzynka też

W mojej świętej Częstochowie mieszka od lat wielbiona przez narodowych i katolickich Polaków Królowa Polski. Matka Boska Częstochowska.

Zwana Czarną Madonną, bo z pochodzenia jest żydowską Felaszką.

Tę moją wioletolenią sąsiadkę ukradł i przemycił z Ukrainy książę Władysław Opolczyk. Zanim koronowano ją na Królową Polski, była tu „nielegalną migrantką”.

PIOTR GADZINOWSKI



Wśród polityków zapanował trend na kokietowanie ciemnego ludu. Sęk w tym, że 80 proc. ludzi w Polsce ma maturę i o ciemny lud coraz trudniej. Nie brakuje oczywiście matolów – i mamy ich nadreprezentację wśród polityków właśnie. Jednego z nich rozumu uczyli ostatnio mieszkańcy Bogatyni, nie wpuszczając go do domu kultury, gdzie zamierzał wiewcować, i zagłuszając jego mowę o zamykaniu granicy.

Im dalej od granicy, tym zachwyt dla Bąkiewicza większy. Jednak wśród obrońców granicy rzadko się trafia ktoś miejscowy, bo miejscowi w dużej mierze żyją z tego, że ziścił się sen z pieśni „Ich troje” i mamy nareszcie Keine Grenzen.

Resztę Polaków jednak skutecznie nastraszo najazdem Hunów w postaci masowej nielegalnej imigracji. Chociaż skala zjawiska póki co niczym nie grozi. O tym, jak łatwo nastraszyć ludność obcymi, świadczy incydent radiowy w USA. Emisja powieści Orsona Wellsa o najeździe Marsjan spowodowała w całym kraju masową panikę. Miliony ludzi ruszyły na sklepy i wyjechały na drogi. Strach odbiera rozum. Ale to jeszcze nie znaczy, że przerażeni ludzie są głupi. Po-

Wciskanie ciemnoty

Lud jaśniejszy, niż sądzi czarna sotnia

rażka Ruchu Obrony Granic w zetknięciu z lokalną ludnością najlepiej o tym świadczy.

Dlaczego prymitywna ideologia nacjonalistyczna działa na masy, a rozsądne wyjaśnienia wykształconych elit do ludzi nie trafiają? Bo inteligencja zdradziła zwykłych ludzi i stanęła po stronie kapitału.

Symbolem kapitału stała się Unia Europejska i bogate Niemcy. To co, że dzięki integracji europejskiej nasz dochód narodowy na głowę rośnie – skoro połowa ludności z dobrodziejstwa tego wzrostu nie korzysta? Tego modelu wzrostu, który nielicznym daje za dużo,

broni inteligencja przemawiająca do ludzi językiem Leszka Balcerowicza. Do świadomości mas dotrze kiedyś znaczenie faktu, że w ramach transformacji i neoliberalnej polityki 10 proc. ludności przejęło 60 proc. majątku narodowego.

Nawet wtedy, kiedy liberał mówi prawdę o korzyściach z wymiany handlowej z Niemcami, dominuje skandowane na wiecach hasło: „Co by się nie działo, nie ufaj liberałom”. Im bardziej bezkrytyczna i uległa była postawa liberalnych elit wobec Unii i Niemiec – tym łatwiej przekonać połowę narodu, że Tusk to agent niemiecki i że to Niemcy – a nie Rosja – są naszym głównym wrogiem. Trochę dlatego, że między naszym zachodnim sąsiadem a nami jest wiele sprzecznych interesów, o których zbyt długo milczano.

Podobnie jest z UE. Korzyści z nałożenia do strefy wolnego handlu najbogatszych państw świata są nie do przecenienia, choć Unia zbyt często faworyzuje większych graczy, takich jak Niemcy czy Francja, kosztem Polski czy państw bał-

tyckich. Jednak mimo ciągłego szczucia na integrację europejską przez prawicę narodową pozostajemy jednym z najbardziej prounijnych społeczeństw w Europie. Ten rzekomo ciemny lud nie dał się ogłupić i nie grozi nam Polexit.

Kiedy wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego wprowadzono w Polsce jedno z najbardziej restrykcyjnych praw antyaborcyjnych w Europie, kobiety wyległy na ulice nie tylko w wielkich miastach, ale i na głębokiej prowincji, bo czasy zaślepienia i dominacji kleru już minęły, a kobiety głupie nie są.

Prezydent elekt grilluje KO jej własną obietnicą ogromnego zwiększenia kwoty wolnej od podatku. Jak zwykle bogaci zarobią na tym krocie, zwykli ludzie jakies drobne, a młodzież do 26. roku życia nic, bo i tak jest z płacenia podatku dochodowego zwolniona. W efekcie zwiększy się niepomierne dziura budżetowa – i tak już kolosalna – co sprawi, że jeszcze trudniej będzie o leczenie czy mieszkanie. Wyjaśnić to może wyborcom jedynie partia Razem, która już od dawna alarmuje w sprawie braku odpowiednich

wydatków państwa. Bo bogaci już dziś leczą się prywatnie i kupują mieszkania za gotówkę albo w kredycie hipotecznym. A biedni? Czyli większość, której na to nie stać? O nich nie dba ani kryptokonfederata Nawrocki, ani rządzący, ani PiS – bo wszyscy po kolei byli finansowani przez deweloperów i prywatne firmy medyczne.

Wzalewie głupoty, jaka się sączy z mediów społecznościowych, potrzebni są ludzie czytający książki i rozumiejący świat. I kiedy nadchodzi kolejna kampania i ludzie uważnie słuchają, głos lewicowej inteligencji przebijają się do masowej wyobraźni. Dzięki temu jest szansa na odbudowanie przymierza inteligencji z ludem, który wcale nie jest tak ciemny, jak się prawicowemu szurom wydaje. Dzieje się, rośnie szansa, aby do sejmu weszła lewica antyliberalna, stojąca po stronie tych Polaków, którzy nie korzystają na wzroście dochodu narodowego. Partia Razem, która dociera do młodego pokolenia wykształconych Polaków i coraz częściej po prostu do ludzi pracy. Na przeszkodzie stoi im wprawdzie niż demograficzny – ale kto wie, jak daleko zajdą?

To oni, młodzi, mądrzy, wiarygodni, uniemożliwią skrajnej prawicy wciskanie ludziom ciemnoty.

PIOTR IKONOWICZ

WIEŚCI GMINNE i INNE

■ Port Lotniczy Radom – pomnik gospodarczości pisowskiej. Strata 46,78 mln zł (2024), czyli 415 zł na jednego pasażera. Brawo! Za 800 mln (koszt inwestycji) można było wozić tych 112 tys. pasażerów (którzy korzystali z lotniska) taksówkami do Nowego Jorku. Ale po co? Lepiej budować lotniska widmo, które generują straty i dają zatrudnienie znajomym. Ktoś musiał przecież brać te 25 mln zł wynagrodzeń (w zeszłym roku). Ojcowie sukcesu, posłowie Suski i Bielani, pękają z dumy. W końcu stworzyli coś naprawdę wyjątkowego: najdroższą i najbardziej bezużyteczną inwestycję w historii polskiego lotnictwa.

■ Dług kaliskiego szpitala wojewódzkiego wobec pielęgniarek, które z naiwną ufnością oczekują zapłaty za swoje specjalizacje, sięga astronomicznej sumy 37 mln zł (z odsetkami, rzecz jasna). Dyrektor zapowiedział, że pieniądze oczywiście wypłaci, jednocześnie przewidując niezbędne zwolnienia. Urząd Marszałkowski w Poznaniu po rutynowej kontroli w szpitalu doznał szoku i postanowił zawiadomić prokuraturę. Okazało się bowiem, że jeden z lekarzy, niczym gwiazda rocka, zarabiał na kontrakcie bagatela 2 mln zł rocznie.

■ Policjanci z Wielienia (ok. 90 km na północny zachód od Poznania), zatrzymali sześciu mężczyzn odpowiedzialnych za kradzież... dachu. Tak, miedzianego, za-bytkowego, z pałacu Sapiehów. Kradzież odbywała się na raty – od sierpnia 2023 r. Straty przekraczają 600 tys. zł, nie licząc kosztów demontażu historycznej konstrukcji, które złodzieje ponieśli we własnym zakresie. Miedź trafiła do skupów złomu, a stąd – do przemysłu. Pałac po wojnie przeszedł na własność państwa i niszczał. W 1992 r. nabyła go hrabina Elwira Hennicke, co również niewiele zmieniło. Warto zatem docenić prospołeczny aspekt operacji. Gdyby miedź dalej leżała na dachu, po prostu by korodowała. A tak została z pożytkiem przerobiona, być może na przewody, które dziś przesyłają prąd do naszych komputerów, routerów i lodówek. Czysty recykling. Póki co dachu brak, winni są, a pałac dalej się sypie. Wszystko po staremu.

■ „Uniwersytet nie może karać za odwagę cywilną i empatię. Kształcenie przyszłych lekarzy weterynarii powinno opierać się na odpowiedzialności, a nie represji” – napisali w liście otwartym do rektora Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie studenci weterynarii. Chodzi o Szymona Bałkę – studenta, który udokumentował sposób prowadzenia zajęć z chorób ryb. Karpie miały być przetrzymywane w ciastym i brudnym pojemniku oraz uśmiercane bez ogluszenia, co według biegłego spowodowało ich cierpienie. Prokuratura postawiła wykładocznicy zarzuty i skierowała sprawę do sądu. Uczelnia w odwecie za donosicielstwo skreśliła Bałkę z listy studentów. Teraz trwa spór – sąd administracyjny uchylił decyzję uczelni, uznając ją za bezprawną, lecz rektor złożył skargę kasacyjną do NSA.

■ Restauracja Czerwona Koza we Wrocławiu dolicza 2 zł od osoby za działającą klimatyzację. Gdy w lokalu pracuje chłodzenie, każdy biesiadnik płaci „opłatę klimatyzacyjną”. Informacja znajduje się w karcie informacyjnej, a sam manewr uzasadniono wysokimi kosztami energii. To właściwie niezły pomysł na nowy model biznesowy: otwieramy restaurację bez posiłków, za to z solidną opłatą za wstęp do klimatyzowanego wnętrza. Albo zgodnie z nową polską szkołą opłat ukrytych każemy płacić za każde wejście do chłodnego pomieszczenia. Oddech w temperaturze 21°C? Proszę bardzo, 2 zł. Oczywiście prędzej czy później przyczepi się urząd skarbowy. Bo jak zakwalifikować dostarczanie chłodu do układu oddechowego? To jeszcze usługa czy już sprzedaż towaru? I zaczyna się prawdziwa jazda: jaki VAT? 8 proc. jak na gastronomię, czy 23 proc. jak na luksusowy towar?

■ Według raportu Deutsche Banku, który obejmuje 67 miast na świecie, koszty me-

diów w 2025 r. różnią się znacząco. Chodzi o miesięczne opłaty za energię elektryczną, ogrzewanie, chłodzenie, wodę i wywóz śmieci dla mieszkania o powierzchni 85 mkw. No i trzeba przyznać: jesteśmy prawie na podium. Warszawa zajmuje piąte miejsce z kosztem 327 euro, wyprzedzając nawet San Francisco – najdroższe amerykańskie miasto, gdzie rachunki wynoszą 202 euro. W Nowym Jorku to zaledwie 181 euro. Najdroższym miastem na świecie okazało się Monachium – 370 euro. Tylko że, umówmy się, ta statystyka ma się nijak do polskich realiów. Kto w Warszawie widział mieszkanie o powierzchni 85 mkw? U nas na takim metrażu mieszczą się cztery rodziny w trzech „nowoczesnych apartamentach”. W takich warunkach koszty usług publicznych wydają się zupełnie znośne.

■ Na biurko burmistrza Zakopanego trafiła petycja. Autor domaga się stworzenia robokonia i robomisia, jako nowych symboli kultury pod Tatrami. Maszyny miałyby mieć napęd elektryczny, realistyczne efekty dźwiękowe, interakcję przez aplikację i „cepersko-futurystyczny” wygląd. Całość – najlepiej z drewna, żeby nie zgubić góralskiego ducha. „To apel o przebudzenie” – pisze autor petycji, wskazując, że Zakopane tkwi w marazmie, bez wizji i strategii. W krajach arabskich roboty już zastąpiły ludzi w wyścigach wielbłądów. Czas zatem na robokonie pod Gubałówką. Burmistrz docenia pomysłowość, ale podkreśla, że budowa robozwierząt nie mieści się w zamkniętym katalogu zadań własnych samorządów lokalnych.



PRZESUŃ SIĘ, KURWA!
MODLIŁ SIĘ BĘDĘ!

■ Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu postanowiło uczcić pamięć zmarłego generała Waldemara Skrzypczaka w sposób, który można by określić jako... minimalistyczny. Otwarto wystawę pamiątek przekazanych za życia przez generała, na której można podziwiać m.in. dwa mundury (prawdopodobnie te, w których generał dowodził polskim kontyngentem w Iraku) oraz broń znalezioną na irackim pobojowiisku (ciekawe, czy przeszła kontrolę celną). Niestety, wystawa nie obejmuje pewnych, powiedzmy, pikantnych pamiątek z życia generała, takich jak np. treść postów, które wymieniał ze swoją ówczesną kochanką, zdradzając przy okazji – zupełnie nieumyślnie, rzecz jasna – strategiczne tajemnice. Redakcja chyba by mogła udostępnić treść tych materiałów (pisaliśmy o sprawie swego czasu na łamach „NIE”), aby zwiedzający nie musieli zadowalać się tylko nieco okrojonym obrazem osobowości zmarłego wodza naczelnego. Wystawę można oglądać do końca września w oddziale muzeum przy ul. Emilii Gierczak 5. Serdecznie zapraszamy wszystkich zainteresowanych historią, wojskowością i... romansami w mundurach.

■ W Krynicy Morskiej stanęła nowa atrakcja turystyczna – spiżowy pomnik młodej kobiety wylegującej się na leżaku, ale z głową świni. Instalacja wywołała falę krytyki wśród turystów: „Obrzydliwe są te pomniki mutantów świńskich”, „Dlaczego ryj świński?” – pytają. „Okropieństwo! To już lepiej byłoby dać fokę. Jak dla mnie to obraza kobiety” – komentują inni.

R.J

PS Informacje mogą pochodzić z ogólnodostępnych źródeł medialnych, w tym mediów lokalnych i regionalnych, których wiarygodność nie zawsze podlega pełnej weryfikacji. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne nieścisłości, przeinaczenia lub nieprawdziwe treści zawarte w cytowanych materiałach. W przypadku stwierdzenia błędów lub nieprawdy uprzejmie prosimy o kontakt; dokonamy stosownej korekty lub sprostowania.

Kolba razy siedem plus

Murem za mundurem, wersja prokuratorska

To pewnie przypadek. Ale tego samego dnia, w którym redaktor Anna Kondraciuk, szefowa małego tygodnika „Nowy Kurier” z Siemiatycz, oznajmiła, że widziała nagranie z monitoringu z okolic Michałowa, na którym żołnierz kolbą karabinu tłucze migranta, prokuratura wzięła publicznie w obronę właściciela kolby, który miał podobno zaliczyć fangę pod oko od tego, którego tłukł.

Kondraciuk 18 lipca w rozmowie z Piotrem Czabaniem z kanału „Czaban robi raban” na YouTube przyznała, że nie ma odwagi na walkę z systemem, więc odezwała się do tego byłego dziennikarza TVN-u i to jemu opowiedziała, co widziała.

Według niej

Afgańczyk nie był wcale agresywny – jak donosiła większość polskich mediów na dyskretny obstalunek MON-u. To żołnierz miał stracić panowanie nad sobą i znęcać się nad bezbronnym człowiekiem.

– Uderzeń kolbą naliczyłam siedem – twierdzi Kondraciuk. – Na nagraniu widać leżącego człowieka. On po prostu upadł, leży, żołnierz do niego podbiegł. Widać oddawane strzały, można by się przyczepić, czy ze zbyt bliskiej odległości, czy z daleka, ale OK, jest to środek przymusu bezpośredniego. Założmy, że żołnierz miał prawo to zrobić. Ale absolutnie nie miał prawa bić kolbą, zza ucha, leżącego człowieka.

Według jej relacji na filmie z pogranicza widać też drugiego żołnierza, który podbiega do napastnika i odciąga go od ofiary. Z takim sobie skutkiem, bo zdaniem Kondraciuk ten od kolby, przy koledze, użył jej raz jeszcze. Albo nawet razy dwa.

Prokuratura Rejonowa Białystok-Północ, która – przynajmniej jej sprawiedliwość – wszczęła wobec tego konkretnego szweja postępowanie o przekroczenie uprawnień w stosunku do Afgańczyka (przekazane prawie natychmiast do wydziału ds. wojskowych Prokuratury Okręgowej w Olsztynie), szybko zamortyzowała efekt, jaki wywołała szefowa „Nowego Kuriera”.

Komunikat z 18 lipca brzmiał: „Dział o Spraw Wojskowych Prokuratury Rejonowej Białystok-Północ w Białymstoku pod sygn. akt 4003-13 Ds. 575.2025 w dniu 14 lipca 2025 r. wszczął śledztwo w sprawie dokonania w dniu 10 lipca 2025 r. około godz. 21:00 w pobliżu granicy polsko-białoruskiej, w rejonie znaku granicznego nr 448, w strefie odpowiedzialności Placówki Straży Granicznej w Michałowie przez działających wspólnie i w porozumieniu ustalonych sprawców, czynnej napaści na funkcjonariusza publicznego – żołnierza zawodowego



RYS. HENRYK CEBULA

z 5 pułku artylerii w Sulechowie, w związku z pełnieniem przez niego obowiązków służbowych, tj. o czyn z art. 223 § 1 kk. W sprawie trwają czynności dowodowe. Z uwagi na dobro śledztwa szczegółowe informacje o stanie sprawy w chwili obecnej nie będą udzielane”.

Wrazie gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, czy bicie leżącego nie hańbi polskiego munduru – rozwiewa je najwyższy przełożony bijącego, wicepremier Kosiniak-Kamysz na swoim osobistym koncie na X: „Dziś spotkałem się z żołnierzem, który 10 lipca br., pełniąc służbę na granicy, został zaatakowany i raniiony przez migrantów. Podziękowałem mu za jego służbę. Ministerstwo Obrony Narodowej oraz dowódca Wojska Polskiego od początku są razem z żołnierzami i udzielają im potrzebnego wsparcia. Przykład tego żołnierza pokazuje, że mamy profesjonalną, zmotywowaną do obrony naszych granic armię. Naszym obowiązkiem jest ich wspieranie i okazywanie im szacunku”.

Jak można z dużym prawdopodobieństwem założyć, w tej chwili służby poszukują usilnie informatora Anny Kondraciuk i jeśli go znajdą, to uszyją mu sprawę o ujawnienie osobom niepowołanym wojskowych tajemnic. Jeśli to osoba mundurowa, to – poza prokuratorskimi nieprzyjemnościami – dostanie w wianie wewnętrzne postępowanie dyscyplinarne, bo wojsko z całego serca pod każdą szerokością geograficzną nienawidzi whistleblowerów. Koledzy i koleżanki ze służby też ją znienawidzą, bo „twardym trzeba być, a nie miętym”, a poza tym „wszędzie między wrony”.

Coś ze statystyki. Od początku tego roku straż graniczna zarejestrowała na pograniczu polsko-białoruskim grubo ponad 15 tys. prób nielegalnego dostania się do wschodniej flanki europejskiego raję. W dużej mierze dano temu odpór, choć – jak nieoficjalnie słychać – 300 dolków od migranta, którego trzeba podrzucić w głąb Polski, a najlepiej pod granicę z Niemcami, stanowi coraz większą pokusę tak dla rodaków, jak i dla ukraińskiej diaspory.

Co ciekawe, Polacy to najczęściej podwykonawcy w biznesie, którym dowodzą Ukraińcy. Robią bowiem za kierowców. Jeśli za kółkiem trafi się jakiś prawosławny czy grekokatolik, najczęściej to chłop poniżej 25. roku życia. Wtedy jest szansa, że nie trafi od razu do okopów w Donbasie, zgodnie z tamtym prawem mobilizacyjnym, tylko trochę posiedzi w polskim kryminale. W innym przypadku ani prokuratura, ani straż graniczna mogą nie mieć skrupułów i w trybie natychmiastowym przekazać delikwenta ukraińskim służbom granicznym. Słyszymy więc, że tacy z ćwiartką wieku na karku padają wtedy dosłownie na kolana przed polskim panem z żabotem w kolorze czerwonym. I proszą o zmiłowanie.

– I co dalej się z nimi dzieje? – pytamy jednego z podlaskich prokuratorów.

– Wypierdaliśmy ich na front.

JMP

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ Decyzją Sądu Okręgowego w Legnicy dwie ofiary księdza Piotra M., byłego proboszcza parafii w Ruszowie na Dolnym Śląsku, otrzymają po 475 tys. zł zadośćuczynienia za doznane krzywdy. Sprawę klechy na policję w 2019 r. zgłosiła matka 10-letniej dziewczynki z lekkim stopniem niepełnosprawności, kiedy dziecko zwierniło się, że proboszcz „puka je paluszkami”, kiedy nie ma na sobie ubrania. Pokrzywdzona wyznała śledczym, że w podobny sposób ksiądz obchodził się z jej koleżanką. Przeciwno duchownemu zeznawały też inne podopieczne. Łącznie kilkanaście osób stwierdziło w prokuraturze, że ks. Piotr M. dotykał je, sadzał na kolana i dawał buziaki. W marcu 2020 r. zapadł wyrok skazujący kleszego pedofila na pięć lat pierdła. Sąd drugiej instancji obniżył karę do czterech lat. Rzecznik diecezji legnickiej nie skomentował decyzji

sądu w sprawie przyznanego odszkodowania. Wyrok jest nieprawomocny.

➤ 60-letni proboszcz z parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Przypkach (gmina Tarczyn) został oskarżony o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem 68-letniego znajomego. Do zbrodni doszło 24 lipca w miejscowości Lasopole (pow. grójecki). Według ustaleń śledczych między mężczyznami doszło do sprzeczki podczas jazdy samochodem. Tłem kłótni był spór o umowę darowizny gruntów. Ofiara wcześniej przekazała księdzu ziemię, a duchowny zobowiązał się do dożywotniej opieki nad 68-latkim, w tym zapewnienia mu lokum. Konflikt dotyczył wyboru miejsca zamieszkania ofiary. Niezadowolony przebiegiem negocjacji duchowny zatrzymał auto, wyciągnął siekierę i wielokrotnie uderzył męż-

czynną w głowę. Następnie oblał jego ciało łatwopalną cieczą i podpalił, gdy ofiara jeszcze żyła. Z utęsknieniem czekamy na Ruch Ochrony przed Księżmi.

➤ Rodzice jednej z ofiar księdza Dominika R. nie zgadzają się z wyrokiem sądu, który skazał duchownego na pięć lat więzienia. Przypomnijmy, ks. Dominik R., pełniący funkcję wikariusza w Święcanach i Boguchwale w woj. podkarpackim, został oskarżony o wykorzystywanie seksualne nieletnich. Klecha zdobywał zaufanie nastolatków, oferując pomoc na siłowni i organizując wy-cieczki. Wykorzystywał różne preteksty, by nakłonić chłopców do rozbierania się, a następnie robił im zdjęcia i nagrywał filmy pornograficzne. Sąd orzekł wobec duchownego – poza odsiadką – dożywotni zakaz pracy z dziećmi oraz 10-letni zakaz przebywania w pobliżu placówek opiekuńczych. Rodzice jednego z pokrzywdzonych chłopców uważają, że wyrok jest zbyt łagodny, ponieważ sąd zastosował dolną granicę kary, i w apelacji domagają się jej zaostrzenia.

Pobożne trzeźwienie

Sierpniowe apele o abstynencję, tak dla wiernych, jak i kleru, są kolejnym przykładem kościelnej hipokryzji.

Biskupi tłumaczą, że inicjatywa sierpnia jako miesiąca trzeźwości to wynik sierpniowych strajków w 1980 r., kiedy strajkujący wprowadzili prohibicję w Trójmieście. Ci sami biskupi na każdej mszy wynoszą tenże alkohol na ołtarze. Polacy oczywiście nie słuchają i nie słuchali Kościoła w kwestii alkoholu, co jest kolejnym dowodem na to, że polski katolicyzm najlepiej wygląda na zdjęciach z Jasnej Góry.

Procenty odzewu

„Sierpień jest od 1984 r. miesiącem trzeźwości” – powtarzają hierarchowie jak modlitwę. Co roku odpowiedzialny w episkopacie za trzeźwość narodu biskup Bronakowski apeluje o dobrowolną abstynencję w sierpniu: „Będzie to świadectwo odpowiedzialności za siebie, za bliźnich i za Polskę”. I pięknie to brzmi, dopóki nie rzuci się okiem na dane. Sierpniowy udział paragonów z alkoholem to 7,35 proc. – więcej niż w lipcu (6,98 proc.) i czerwcu (7,02 proc.). Weekendowe eksplozje zakupów są jeszcze wyraźniejsze – niedziela 8,77 proc., sobota 7,4 proc., piątek 6,95 proc. Co kupujemy? Piwo króluje na 72 proc. paragonów alkoholowych, wódka to 14,5 proc., a wino – 11,1 proc.

Historyczny kontekst również nie pozostawia złudzeń – od lat 80., mimo corocznych apeli episkopatu, wskaźnik sierpniowego łojenia utrzymuje się na stabilnym poziomie lub wzrasta. W 1995 r. spożycie w przeliczeniu na czysty spirytus w sierpniu wynosiło 0,71 litra na osobę – w 2010 r. było to już 0,88 litra. W 2020 – 0,92. Nie ma żadnych danych potwierdzających spadki spożycia przypisane sierpniowej kampanii Kościoła. Raporty Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych (PARPA) wskazują, że sierpień od dekad nie wyróżnia się w statystykach trzeźwościowych, a w niektórych regionach – szczególnie turystycznych – bywa jednym z najbardziej procentowych miesięcy.

Ekonomia też nie kłamie – od 2002 do 2021 r. spożycie czystego alkoholu wzrosło o 35 proc. Dostępność wzrosła ze 189 tys. punktów w 2006 r. do ponad 490 tys. w 2021. Rządzące wedle wska-

zań Kościoła PiS nic w tej materii nie zrobiło, bo widać biskupom to wisiało.

Dane policyjne też są dla kościelnej trzeźwości miazdzące. Sierpień to czas, kiedy pijani kierowcy biorą drogi szturmem. W 2023 r. sierpień odpowiadał za 11,2 proc. śmiertelnych wypadków po alkoholu (lipiec miał 12,6 proc.). Długi weekend sierpniowy w 2024 r. przyniósł 230 wypadków i 21 ofiar śmiertelnych. Do końca sierpnia 2024 r. pijani kierowcy spowodowali 805 wypadków, w których zginęło 100 osób. Rekordowe liczby zatrzymań również nie kłamią – 21 507 pijanych kierowców zatrzymanych w wakacje 2024 r., w sierpniu – 9205, w lipcu – 9721. Dane z 2022 i 2021 r. również nie wykazywały żadnej pozytywnej anomalii w sierpniu – przeciwnie, liczby pozostają alarmujące, a skuteczność kościelnych apeli – zerowa.

„Oto jest krew moja...”

Specjaliści zachowują trzeźwość (sądów): „Lato i wakacje nie sprzyjają realizacji celu... liczba wypadków wzrasta”. Instytucje jak PARPA i Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom powtarzają – także jak modlitwę – że drogą do zmniejszenia pijaństwa jest zakaz reklamy, ograniczenie dostępności i wyższa akcyza. Dowód? Podwyżka akcyzy o 10 proc. w 2022 r. spowodowała spadek sprzedaży alkoholu o 4,1 proc., a jednocześnie wartość rynku wzrosła do 40,4 mld zł. Wprowadzenie podatku na słodkie napoje – spadek sprzedaży o 23–30 proc. Te dane pokazują, że działa ekonomia, nie modlitwa.

Tymczasem biskupi niezmiennie klepią to samo. Łomżyński biskup pomocniczy Tadeusz Bronakowski, szef Zespołu do spraw Apostolstwa Trzeźwości Konferencji Episkopatu, orzekł w 2018 r.: „Abstynencja w sierpniu to akt miłości wobec bliźniego i świadectwo chrześcijańskiej odpowiedzialności”. W 2021 r. dodawał: „Trzeba bronić trzeźwości narodu jak niepodległości”. Z kolei radomski biskup senior Henryk Tomasik nawoływał: „Zachęcam do całkowitej abstynencji, przynajmniej w tym szczególnym miesiącu, jakim jest sierpień”.



Ale pojawiają się też głosy mniej jednoznaczne.

Arcybiskup Sławoj Leszek Głódz w 2013 r. mówił z rezerwą: „Nie przesadzajmy z tym moralizowaniem, każdy ma swoją miarę”. Te słowa – w kontekście jego stylu życia – nadały trzeźwościowym kazaniom episkopatu miarę właściwą.

Jeszcze wcześniej, w latach 90., niektórzy duchowni sugerowali, że „trzeźwość to sprawa indywidualna, a nie zbiorowy obowiązek”. Może więc hierarchowie zaczęliby sierpniowe trzeźwienie od siebie? Bo to dzięki nim i ich podwładnym sierpień stał się nie miesiącem wyrzeczeń, a szczególnie dobitnym dowodem rozminięcia się Kościoła z rzeczywistością.

Kościół naucza, że pijaństwo to grzech – poważny. List do Koryntian ostrzega: „Pijacy nie odziedziczą królestwa Bożego”.

Święty Augustyn również: „Wino jest dziełem Bożym, pijaństwo dziełem diabła”. Ale wino pozostaje niezbędne w najważniejszym sakramencie – bez niego sakrament traci moc. Kościół wymaga, by było to prawdziwe sfermentowane wino. To oznacza, że spożycie alkoholu nie jest grzechem. Jezus miał pić wino na weselu w Kanie Galilejskiej i na ostatniej wieczerzy. Katechizm Kościoła katolickiego podkreśla, że umiarkowane użycie alkoholu nie jest grzechem. I tu pojawia się rozdzźwięk – sierpniowe wezwania do całkowitej abstynencji są w sprzeczności z podstawowym rytuałem wiary.

Krzewiciele abstynencji

W Polsce, jak wszędzie, nie tylko wierni zmagają się z alkoholem. Duchowni również. Oto parę przypadków z ostatnich lat. W Gdańsku ksiądz prowadzący pogrzeb pomylił kropidło z mikrofonem, osunął się na trumnę i bełkotał. W Rzeżowicach ksiądz zasnął podczas pogrzebu. W Garczegorzu katabas z 1,66 promila bełkotał nad trumną noworodka. W Żelechowie wikary uderzył autem w zaparkowany samochód – miał 2 promile. W Białymstoku proboszcz spowodował kolizję, a dwa tygodnie później został zatrzymany bez prawa jazdy. Te historie nie są jednostkowe – są zbyt częste, by uznać je za wyjątek. Pokazują, że Kościół ma problem nie tylko z nauczaniem, ale i z własnym przykładem.

Księży ci u nas ponad 30 tys. Jedne szacunki mówią, że 20 proc. z nich nadużywa alkoholu. Inne twierdzą, że uzależnionych nosicieli koloratki jest jeszcze więcej. Sami księża powtarzają, że jeśli chodzi o alkoholizm, to wykonują zawód podwójzonego ryzyka. W Kowalewie działa Diecezjalny Ośrodek Duszpasterstwa Trzeźwości. Przez 28 lat leczyło się tam na chorobę alkoholową ponad 1100 księży. Jak twierdzą prowadzący placówkę, jedynie ok. 40 proc. z nich udało się przestać pić. Ale po powrocie z leczenia księżmi są zarówno wyleczeni, jak i łożący nadal.

Eksperci ds. wizerunku i psycholodzy społeczni odnotowują oczywistość: powtarzające się skandale alkoholowe wśród duchownych znacząco osłabiają autorytet Kościoła jako instytucji wychowawczej; szczególnie jeśli chodzi o wychowanie w trzeźwości.

Prof. Janusz Czapliński wielokrotnie podkreślał, że brak spójności między deklaracjami a praktyką w Kościele sprzyja laicyzacji i utracie wpływu na zachowania społeczne. Kościół nie tylko nie wywiera presji moralnej, ale sam staje się uczestnikiem kryzysu, który próbuje zwalczać.

Dla wiernych przykład idzie z góry. A jeśli ten przykład chwiejnie chwieje się nad trumną, to trudno oczekiwać, że sierpniowe apele zostaną przez kogokolwiek potraktowane poważnie.

TOMASZ BOROWIECKI

Biskup, który uciszał Jana Pawła Cieśnina Meringa

Polska to kraj nieograniczonych możliwości dla emerytów, ale tylko tych w sutannach. 79-letni Wiesław Alojzy Mering (znany tu i ówdzie jako Lucjan) stał się bohaterem tej części społeczeństwa, która aktualnie przeżywa traumę pod rządami Tuska. Nieskrępowani mówią o swoim zniewoleniu, co nie jest przecież największym polskim paradoksem. Emeryt Mering przez chwilę mógł

się poczuć jak jakiś Wyszyński czy inny kościelny autorytet – kosztem niewielkim, bo zaledwie półgodzinne kazania wygłoszonego na Jasnej Górze. A o emerytów trzeba przecież dbać i ich doceniać.

Aplauz

Publika w Częstochowie dopisała. Emerytowany biskup wrocławski głodził dług, ale dopóki wygłaszał pobożne frazesy, nikt nie zwracał specjalnej uwagi na jego wynurzenia. Dopiero gdy z ambony rozległo się: „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”, radiomarynia widownia oszalała. Wytrenowany przez Kurskiego i Rydzkiego tłum reaguje na słowo „Niemcy” odruchowo. Biskup dostał brawa, a potem kolejne, w miarę rozkręcania się segmentu politycznego i rzucania ulubionych grepsów prawicy. Wątki teologiczne pielgrzymi pomijali nabożnym milczeniem, co świadczy o ich priorytetach.

Mering nie powiedział nic nowego, ale ludzie lubią te piosenki, które znają. Złaknieni nieustraszonych pasterzy, którzy nie boją się mocnych słów, prawicowi publicyści rzucili się do obrony ekscelencji, którą nękała siepacze w randze ministra. Oto bowiem uciszyć Meringa chce sam Radosław Sikorski, żądając od Watykanu stanowczej reakcji na jego kazanie. Nie jest to nowa zagrywka szefa MSZ, a od niedawna wicepremiera. Wcześniej doniósł Watykanowi na Rydz-

ka. W 2011 r., czyli za poprzednich rządów PO, dyrektor Radia Maryja skarżył się na konferencji o źródłach energii odnawialnej w Brukseli (sic!): – Nie wiem, gdzie ja żyję, bo w czasach komunizmu nie mieliśmy takich problemów jak teraz. To jest skandal i my czujemy się dyskryminowani. Jesteśmy wykluczani, dyskryminowani, to jest totalitaryzm.

Donos

Rozsierdziło to Sikorskiego, który wystosował notę dyplomatyczną do ówczesnego sekretarza stanu, kard. Tarcisio Bertone. Później chwalił się w mediach społecznościowych, że nota poskutkowała, bo Rydzkił przeprosił. Ale z książki „Jego świątobliwość. Tajne dokumenty Benedykta XVI” wynika, że interwencja polskiego ministra nie spotkała się w Watykanie z ciepłym przyjęciem. Bertone w notatce dla papieża napisał, że spotkał się z wiceszefem polskiego MSZ i wyłożył mu, co myśli na temat takich akcji. „Zanotowałem u rozmówcy wielką wolę i pośpiech, by incydent uznać za zamknięty, także w perspektywie klimatu kampanii wyborczej. Zapewniłem go, że Stolica Apostolska nie ma zamiaru podejmować wyzwania rzuconego w nocie, na wysłanie której nie pozwoliłaby sobie nawet Kuba czy Sudan (...) Oczywiście wydaje mi się to, co rozmówca potwierdził na zakończenie rozmowy, a mianowicie że – choć późno – minister zdaje sobie sprawę z tego, iż podjął

krok pospieszny i nieproporcjonalny, który może obrócić się przeciwko niemu w wymiarze politycznym, w przebiegu kampanii wyborczej” – pisał nierzeczywisty gubernator Polski dyscyplinujący członka marionetkowego rządu.

Zatem i tym razem nie ma co liczyć na zbyt wyrywną reakcję centrali Kościoła, a

zagranie Sikorskiego jest na rynek wewnętrzny. Bardziej skuteczny jest Mering. Pojawiają się plotki, że uratował on stołek Barbary Nowackiej.

W sławetnym kazaniu raczył był stwierdzić, że „polską szkołą rządzą dziś barbarzyńcy”, ironicznie nawiązując do imienia pani minister. Tusk miał uznać, że żaden biskup mu nie będzie rządził meblował, i Nowacką zostawił, przynajmniej na razie. Choć znane są również inne, bardziej romantyczne wyjaśnienia braku dymisji szefowej MEN.

W sukurs Meringowi przyszedł tygodnik „Sieci” braci Karnowskich. We wstępniaku Marzena Nykiel píše: „Donos resortu Sikorskiego do Watykanu czyta się tak, jakby pisał go najbardziej gorliwy pracownik IV Wydziału Służby Bezpieczeństwa.

MSZ recenzuje kazania, formułując przekonanie, że „pozostają w głębokiej niezgodności z nauczaniem Kościoła katolickiego i historycznym doświadczeniem pojednania polsko-niemieckiego po II wojnie światowej”...

Nie sposób nie docenić subtelnego poczucia humoru pani redaktor – Wiesław Mering znany jest z aktu IPN jako TW „Lucjan”.

Zakaz

Meringowi jako emerytowi praktycznie nic nie można zrobić. Choć on sam w czasach przedemerytalnych dał pokaz biskupiej siły. W 2020 r. ukarał zakazem wypowiedzi mieszkającego na terenie diecezji wrocławskiej abp. Jana Pawła Lenge, stacjonującego po powrocie z Kazachstanu w Licheniu, którym opiekują się jego koledzy ze zgromadzenia marianów. Lenga ma poglądy tak prawicowe, że za mocne nawet dla Meringa. Na każdego cwaniaka znajdzie się większy. Emeryt z Kazachstanu wielokrotnie krytykował Franciszka, który dla niego nie był żadnym papieżem i mówi o nim per „Bergoglio”. Chętnie udziela się w prawicowych mediach, co było nie w smak Meringowi i nakazał mu zamknięcie się dosłownie i w przenośni. Lenga niewiele sobie z tego zakazu zrobił, bo nie jest nawet członkiem polskiego episkopatu. Teraz sam Mering doświadcza uroków kontrowersyjnej sławy.

Przedstawiciele polskich elit politycznych i kościelnych najwyraźniej polubili donoszenie na siebie, a jeszcze chętniej sami decydowaliby, kto ma prawo mówić, a kto nie. Bo na razie to – jak przytomnie stwierdził Lech Wałęsa – „miała być demokracja, a tu każdy mówi, co chce”.

MATT KOBOSKO

✚ Ksiądz Rafał K., który udawał seksuologa, zapowiedział, że wystąpi do Sądu Najwyższego z wnioskiem o kasację wyroku. 12 czerwca Sąd Okręgowy w Bydgoszczy utrzymał w mocy wyrok skazujący duchownego na 10 i pół roku piewdła. Zasadził także 10-letni zakaz wykonywania zawodu katechety i ośmioletni zakaz prowadzenia zajęć z młodzieżą. Rafała K. obowiązuje także zakaz zbliżania się do poszkodowanych na odległość mniejszą niż 50 m. Poszkodowani mają otrzymać zadośćuczynienia w wysokości od 15 do 25 tys. zł. Ksiądz, który pierdzi w pasiak, uważa, że został nieładnie potraktowany przez sąd, a nagonka na niego to skutek filmów braci Sekielskich, którzy rozdmuchali historie o wykorzystywaniu dzieci przez księży. Farbowany seksuolog w koloratce zapowiada również napisanie książki o tym, co go spotkało.

KLECHA

Wieści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Niewolnicy dyplomu

Państwo polskie ciągle zmusza ludzi do darmowej pracy. Ale ponoć ma przestać.

Dawno temu w „Dwóch drogach” Paweł Jasienica napisał: „Wytworzyła się oryginalna kategoria pracowników zwanych »aplikantami na aplikantów«. Wyglądało to w ten sposób, że po trzech czy czterech latach pracy darmowej, »bez żadnych widoków«, uzyskiwało się prawo do pracy nadal darmowej, ale już »z widokami« otrzymywania w końcu posady kancelisty z roczną pensją od stu do dwustu rubli srebrem. Ten problem, obejmujący niemal całą młodzież inteligentną, dławili Królestwo przed powstaniem styczniowym”.

Nic ci się nie należy

Przez 150 lat nieszczęśliwie się zmieniło. Na rządowych stronach znaleźć można kwit o nazwie: „Zasady organizacji praktyk studenckich, praktyk absolwenckich, wolontariatów i staży dla osób bezrobotnych w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów”. W nim wyczytamy: „Praktyki studenckie oraz świadczenia wolontarystyczne w KPRM są nieodpłatne”, jak też: „Wykonywanie świadczeń wolontarystycznych polega na ochotniczym i nieodpłatnym wykonywaniu czynności na rzecz KPRM”.

Bezinteresowna pomoc premierowi Tuszkowi zostanie oczywiście uhonorowana. Albowiem „osoba upoważniona do reprezentowania KPRM wystawia osobie, która odbyła praktykę/wolontariat/staż, zaświadczenie o rodzaju wykonywanej pracy i nabytych umiejętnościach”.

Można się zżymać na to, że kancelaria premiera okrada biednych studentów. Ale można też dojść do innej konstatacji. Tuszkowi kanceliści, którzy wymyślili coś takiego, to z wizerunkowego punktu widzenia idioci. Idioci, czyli osoby niepełnosprawne intelektualnie. A prawdziwy wolontariusz takim przypadkiem zawsze jest gotów przyjąć z pomocą.

Idiotami nie są jednak prawdziwi beneficjenci darmowej siły roboczej, czyli przedsiębiorcy. I to zarówno duży, jak i całkiem mali. Jednak oni, miast opierać terminem wolontariat, posługują się słowami staż lub praktyka absolwencka.

Ustawowo staż czy praktyka to nabywanie przez studenta „umiejętności praktycznych do wykonywania pracy przez wykonywanie zadań w miejscu pracy bez nawiązania stosunku pracy z pracodawcą”. Abstrahując już od logiczności kwiatka stanowiącego, że zapieprzanie dla kogoś może odbywać się bez nawiązania stosunku pracy, i to w zgodzie z prawem, prawodawca wprost mówi, że „praktyka może być odbywana odpłatnie lub nieodpłatnie”. Tyle że „Umowa nie może

być zawarta na okres dłuższy niż trzy miesiące”.

Jeśli się kliknie w internecie hasło staż lub praktyka, to wyskoczą setki ofert. Od tych z wierzuszki finansowo-bankowej po sklepy szukające stażystów do siedzenia na kasie.

Wszyscy szukają ludzi z najwyższymi kwalifikacjami, o płynności językowej nie wspominając. I wszyscy oferują „bezpłatny staż, który da ci szansę na to, aby przekuć swoją wiedzę w praktykę i wzbogacić zawodowe portfolio” oraz „zaświadczenie o odbyciu praktyk wraz z referencjami”. Drugim wabikiem jest zaś informacja, że po stażu część praktykantów ma szansę kontynuować pracę w „młodym, rozwijającym się zespole”.

Popularność praktyk wzięła się stąd, że firmy dośły ponoć do wniosku, że uczelnie kończą ludzie absolutnie do niczego się nienadający. Nadawać zaś mogliby się, gdyby mieli odpowiednią praktykę w firmach. Tego typu argumentacja znalazła odzew wśród prawodawców i mamy to, co mamy.

Obiecanki cacanki

Tymczasem, jak wynika z badań rynku, fakt, czy ktoś ma w CV trzy, pięć czy 15 odbytych kilkumiesięcznych staży, o niczym przy zatrudnianiu nie świadczy.

Absolwent i tak nie dostanie stanowiska samodzielnego specjalisty, kierownika czy innego dyrektora. Duże firmy mają takich w sażu raz. Potrzebują przede wszystkim klepaczy. Takich, którzy uzupełnią zestawienia, statystyki i inne bazy danych. Od opracowywania tabelki są inni. Na pewno nie absolwenci.

Każda firma ma swoje tabelki i swoje oprogramowanie. Opanowanie ich zajmuje nie więcej niż tydzień. I na nic tu doświadczenia z praktyk, na nic setki godzin wklepywania danych na sażu. Każdy nowy, który załapuje się na stałą – mniej więcej – pracę, musi się i tak uczyć wszystkiego od początku. Bez względu na to, czy jest to korporacja, czy urząd gminy.

Skoro zatem pracodawcy przy zatrudnianiu nie zwracają uwagi na doświadczenia zawodowe, to czemu lobbowali na rzecz bezpłatnych praktyk? Właśnie dlatego, że są bezpłatne.

W Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy stażystom, rzecz jasna, się nie płaci. Tak samo w urzędach skarbowych, wojewódzkich, powiatowych



faksu i niszczarki czy archiwizacja bieżącej dokumentacji. Nawet nie łapią się na funkcje wklepywacze, bo bankowe wklepywanie jest chronione tajemnicą bankową i zdrowym rozsądkiem, który podpowiada, że dopuszczanie do kont kogokolwiek z zewnątrz nie jest najmądrzejsze.

Nieco ciekawiej zachowują się firmy informatyczne. Praktykantów dobierają według własnych zleceń. Dzięki zgłoszeniu wiedzą, co którego absolwenta informatyki zajmuje, i bęc. Jeśli mają zlecenie na wykonanie portalu, to biorą Józka, jak trzeba zrobić program do obsługi sklepu internetowego, to Franka. Franek i Józek robią swoje i dostają zaświadczenie o odbytej praktyce. Firma inkasuje za ich wytwory kilkadziesiąt tysięcy. Oczywiście szans na stałą pracę w tym małym, acz kreatywnym zespole nie ma, bo praktykantów informatyków dostatek.

Ludzkie paniska

Przykłady można wymieniać jeszcze tak długo, jak dużo czasu mają młodzi ludzie do skończenia studiów. Przez ten cały czas – dzięki opowieściom, jak to zdobywając doświadczenie zawodowe, można być kimś i prawu, które pozwala dymać absolwentów – wykorzystuje się ich bez mydła. Wszak po miesiącu pracy za friko na miejsce jednych przyjdą następni, a potem jeszcze następni.

Dawno temu wymyślono, że za produkty i usługi się płaci. Wymaganie od kogoś świadczenia pracy i niedawanie niczego w zamian to zupełne historyczne novum. Nawet niewolnicy zasuwali za miskę ryżu albo fasoli. Ale oni chociaż mieli blisko do pracy. Stażysta-praktykant sam musi zainwestować w bilet.

Przeciwko bezpłatnym stażom od lat gardłuje lewica. W maju 2023 r., jeszcze w pisowskim sejmie, złożyła projekt ustawy, stanowiący, że jeśli w umowie o praktykę nie ma zapisu o wynagrodzeniu, to praktykant z mocy prawa ma dostawać stawkę minimalną. Projekt skończył w konsultacjach. Obecnie – po ponad dwóch latach – temat powrócił. Prace nad uczynieniem staży toczą się także w Brukseli, ale Polska ma być pierwsza. Tak przynajmniej obiecuje minister Dziemianowicz-Bąk. W zeszłym tygodniu zorganizowała konsultacje z kilkudziesięcioma instytucjami i organizacjami – co byłoby dobrą wiadomością, gdybyśmy uwierzyli, że fetyszyzujący „przedsiębiorców” koalicjanci pozwolą jej taką ustawę napisać, a potem podniosą za nią rękę.

Więcej sukcesów mają radni z Nowej Lewicy – która jeśli gdzieś działa sprawczo, to może na poziomie samorządów. Włocławek był pierwszy. Teraz Kraków – jako największe z dotychczas odważnych miast – z inicjatywy radnych NL daje sygnał: szanujemy młodych ludzi nie tylko deklaracyjnie i dlatego od 2026 r. praktyki w Urzędzie Miasta Krakowa będą płatne. „Wykorzystywanie studentów w urzędzie miasta było po prostu niemoralne” – ogłosił Aleksander Miszański, prezydent Krakowa. I dodał rewolucyjnie, że praca musi się wiązać z płacą.

Kraków uznał, że jeżeli urząd oczekuje od studentów obowiązkowości, punktualności, odpowiedzialności i dyspozycyjności, to niech za to zapłaci. Centusie to jednak centusie i dlatego w przyszłorocznym budżecie na ok. 100 stażystów będzie czekało 200 tys. zł. Wychodzi zatem po 2 tys. zł na jedną pracującą przez miesiąc młodą osobę. Taką, która w dowolnym krakowskim ogródku piwnym wyciągnęłaby przez cztery tygodnie co najmniej szóstkę...

TADEUSZ JASIŃSKI

i gminnych. Sektor publiczny zyskuje setki tysięcy roboczogodzin, za które płaci kawałkiem papieru z pieczątką i podpisem.

Uczelnie kształcące ludzi w zawodach medycznych również podpisywały studentom klauzule o obowiązującym zaliczaniu staży w szpitalach. Dlatego tysiące młodych ludzi zasuwa co roku po 150 roboczogodzin w placówkach medycznych, robiąc za salowe, a nawet za pielęgniarki. Darmo rzecz jasna.

Jeszcze lepiej ustawiły się instytucje finansowe. Większość z nich popodpisywała umowy z uczelniami, które wpisały do statutów, że na kierunkach ekonomicznych praktyki studentów są obowiązkowe. Banki skwapliwie z tej obligatoryjności korzystają. Oczywiście nic studentom nie płacąc.

Jak się można domyślać, darmowi stażyści nie opracowują nowych strategii rynkowych. W pogoni za planami sprzedażowymi pracownicy banku nie mają czasu na jakiegokolwiek wprowadzenie praktykanta/stażysty w świat finansów. Dlatego obarczają go zajęciami tak ambitnymi jak kserowanie, obsługa

Życie w dobrobycie

● Stopa bezrobocia w Polsce w czerwcu wyniosła 5,2 proc. – ogłosił GUS. W maju było 5 proc., więc mamy wzrost o 0,2 pkt proc. A przecież jeszcze na początku roku wskaźnik wynosił 5,4 proc. i ekonomiści wróżyli zejście poniżej piątki. I się pomylili. A może raczej rzeczywistość miała ich prognozy w głębokim poważaniu. „Nowe dane GUS są całkowicie przeciwne wzorcowi sezonowemu oraz oczekiwaniom rynkowym” – napisali analitycy. Innymi słowy: nie tylko nie tak miało być, ale tak nigdy dotychczas nie było. Bezrobocie bowiem – które w czerwcu zazwyczaj maleje – tym razem się rozbuchało. W urzędach pracy zarejestrowanych było 797 tys. osób – o 1,8 proc. więcej niż miesiąc wcześniej i o 4,6 proc. więcej niż rok temu. Wszystkie województwa zgodnie zanotowały wzrost bezrobocia. Od 0,1 do 0,2 pkt proc., czyli niby mało, ale jednak wszędzie. Najniższe bezrobocie było w wielkopolskim – 3,1 proc., najwyższe w podkarpackim – 8,5 proc. Nigdzie nie było spadku. Nawet nie stagnacji.

Wszędzie w górę. I to zarówno miesiąc do miesiąca, jak i rok do roku. Może więc nie tylko sezonowość przestała działać, ale i rynek pracy przestał wierzyć w bajki o „rynku pracownika”? Bo z danych wynika, że aż 84,1 proc. bezrobotnych nie ma prawa do zasiłku. A prawie połowa z nich to osoby długotrwale bezrobotne, czyli takie, które nie pracują od miesięcy. Na dodatek zaś 32,6 proc. nie ma żadnych kwalifikacji, 26,9 proc. to ludzie po pięćdziesiątce, a 13,9 proc. to osoby wychowujące dzieci do szóstego roku życia. „Większość bezrobotnych nadal nie miała prawa do zasiłku” – czytamy w raporcie GUS. A to oznacza, że większość nie tylko nie ma pracy, ale i kasy. Jeszcze rok temu można było mówić, że bezrobocie rośnie, bo firmy tną koszty, wstrzymując inwestycje i zwalnijają. Ale dziś już nawet ten argument brzmi nieprzekonująco. Bo przecież – jak zauważył premier – „mamy jeden z najwyższych wskaźników wzrostu produktywności w Europie”. Tyle że produktywność nikogo nie nakarmi.

● A polska gospodarka jest jedyna w swoim rodzaju. Produkcja w miejscu, sprzedaż detaliczna z zadyśką, inwestycje w letargu – a tymczasem produkt krajowy brutto radośnie pędzi do przodu. Z prędkością 3,5 proc. rocznie. Ekonomiści przecierają oczy ze zdumienia, po czym za-

kładają okulary i... znowu nie wierzą w to, co widzą. Czerwcowe dane o sprzedaży detalicznej miały być pocieszeniem, ale zamiast spodziewanych 3,9 proc. wzrostu było ledwie 2,2 proc. – w dodatku po uwzględnieniu inflacji. Pojawiła się teoria, że konsumenci przeczuli się z zakupów na usługi – hotel, knajpa, grill w górach. I choć takich wydatków GUS nie uwzględnił, to wszyscy są przekonani, że kasa gdzieś jednak płynie. Ekonomiści zaczęli się więc spierać, czy dane są dobre, czy jednak złe, i czy wzrost konsumpcji jest słabszy, mocniejszy czy średni. Bo mimo „negatywnych niespodzianek w czerwcu”, sprzedaż detaliczna urosła w drugim kwartale o 2,5 proc. w stosunku do poprzedniego – najlepiej od dwóch lat. A przecież w tym samym czasie przemysł i budownictwo – zdaniami tych samych fachowców – zaliczyły stagnację. Cud? Na pewno! Wszak w drugim kwartale nasza gospodarka urosła o 3,5 proc. rok do roku. Rok temu było 2,9 proc.

● W czerwcu rozpoczęto budowę zaledwie 15 871 mieszkań. To o 25 proc. mniej niż rok wcześniej. W porównaniu do maja – mniej o 16,9 proc. A przecież jeszcze rok temu bywało blisko 20 tys. miesięcznie. Deweloperzy nie budują, bo nie wiedzą, czy ktoś to kupi bez państwowego wsparcia. Inwestorzy indywidualni trzymają się lepiej,

ale też bez szału – tylko 1,5 proc. wzrostu. A przecież to właśnie te dwa segmenty odpowiadają za 98,3 proc. wszystkich mieszkań. Znaczący – państwo i samorządy razem wzięte to zaledwie margines marginesu. Pozwoleń na budowę też coraz mniej. W czerwcu wydano ich 18 844 – o 23 proc. mniej niż rok wcześniej. Dla deweloperów tylko 11 025, czyli aż o 34 proc. mniej. W całym półroczu pozwolenia na budowę dostało 121,4 tys. mieszkań – o prawie 16 proc. mniej niż w analogicznym czasie 2024 r. Deweloperzy mają o 26 proc. mniej pozwoleń. A przecież, jak przypominają eksperci, „liczba pozwoleń na budowę lokali mieszkalnych uzyskanych przez deweloperów wciąż wyraźnie przekracza liczbę rozpoczynanych w analogicznych okresach budów”. Znaczący nawet mając zgodę, budować nie chcą. A przy braku nowych mieszkań, rosnących kosztach budowy i zapowiedziach wzrostu popytu spowodowanego spadkiem stóp procentowych ceny będą rosły jak grzyby po atomowym deszczu.

● Gdy w kraju deweloperka stoi w miejscu, to Józef Wojciechowski – właściciel J.W. Construction i jeden z najbogatszych Polaków – właśnie kupił sobie wyspę na Seszelach. Na Oceanie Indyjskim. Na tej wyspie Wojciechowski planuje postawić 1000 luksusowych apartamentów, hotel, restauracje, baseny i przystań. Do 2033 r. ma być zrobione pół, a za 12 lat całość. Czyli zanim państwowa mieszkaniówka cokolwiek zbuduje. „Ceny nieruchomości w Warszawie są dwa razy wyższe niż na Seszelach” – przyznał deweloper w rozmowie z „Forbesem”. Czyli wyspa z widokiem na ocean tańsza niż M2 z widokiem na Trasę Łazienkowską. I nie trzeba tam dopłać z BGK, bo nikt o takiej instytucji na Seszelach nie słyszał. Wojciechowski wie, co robi. To on przez lata w Polsce postawił ponad 25 tys. mieszkań i 350 domów. Oficjalnie Wojciechowski kupił wyspę na 99 lat, czyli w lokalnym języku: „na zawsze”. Bo na Seszelach użytkowanie wieczyste to jak własność. I nie trzeba się tłumaczyć przed radą dzielnicy, dlaczego buduje się pięć pięter zamiast czterech. Wojciechowski był kiedyś właścicielem Polonii Warszawa. Ale skoro klub z ulicy Konwiktorskiej nie zawojuje Europy, to może uda się Seszele? W końcu marina z widokiem na rafę brzmii lepiej niż garaż podziemny z widokiem na kanalizację.

TTJ

PKP Cargo to dziś cień dawnej potęgi – firma, która jeszcze niedawno była kregosłupem polskiego transportu kolejowego, teraz ledwie zipie ciągnięta przez niedofinansowanie, chaos i polityczne decyzje „z góry”. Zamiast ładunków – protesty, zamiast pociągów – blokady dróg i peronów. Pracownicy, którzy całe życie pchali tę spółkę do przodu, dziś stoją na torach i krzyczą o ratunek.

28 lipca pracownicy PKP Cargo rozpoczęli ogólnopolskie protesty, blokując drogi i organizując pikety w 13 lokalizacjach. Powód? Masowe zwolnienia, antykolejowa polityka państwa i faworyzowanie transportu drogowego kosztem kolei. Związkowcy przypominają, że transport drogowy korzysta z bezpłatnej infrastruktury państwowej, a kolej płaci wysokie rachunki za dostęp do torów i energię trakcyjną. Domagają się wstrzymania zwolnień i równego traktowania, które zapewni przetrwanie polskiej kolei towarowej.

Na torach – dosłownie – stanęli związkowcy. Władze spółki? Ukryły się w klimatyzowanych gabinetach, z dala od problemów, udając, że protesty ich nie dotyczą. Zero dialogu, zero empatii. To polska magia zarządzania – przeczekiwanie, dojutryzm, zamiatanie problemów pod dywan zamiast ich rozwiązywania.

Rozkład jazdy tego upadku był pisany od lat – drobnym druczkiem, w załączniku do kolejnych prezesowskich nominacji partyjnych. W 2024 r. zwolniono ponad 3,6 tys. osób, a kolejne 2,5 tys. ma stracić pracę do 2026. Restrukturyzacja objęła niemal 30 proc. załogi – setki ludzi, którzy zostali na lodzie.

Związkowcy ostrzegali. Pisali pisma, błagali, krzyczeli. Przez długie miesiące powtarzali, że coś się sypie. Że tabor stoi, że kursy są odwoływane, że ludzie nie mają co robić. Ale z perspektywy zarządu te krzyki to był tylko szum. A jak wiadomo, szum najlepiej się zagłusza szelestem – np. wypłat premii.

Człowiek na torze, Cargo w ruinie

...a TIR-y na autostradach

Poprzedni zarząd pod wodzą Marcina Wojewódki, znanego z brutalnych cięć kadrowych, tylko pogłębiał kryzys. To nie menedżer, a kat PKP Cargo. Jego poprzednie działania – choć skuteczne dla ksiąg rachunkowych – kończyły się wywaleniem setek pracowników z zakładów produkcyjnych. Teraz ten sam scenariusz jest powtarzany na kolei. Wojewódka prezesem przestał być w styczniu, ale w Radzie Nadzorczej pozostał. Metody zarządzania także.

Równocześnie firma traci teren na rzecz prywatnych przewoźników i zakładów firmowych, takich jak Pol-Miedź-Trans czy Orlen Kolej. Likwidowane są bocznice i boczne linie, które umożliwiały elastyczne przewozy. To cios nie tylko dla spółki, ale i dla całych regionów, które teraz zostają bez transportu kolejowego.

Szkolenie maszynistów to proces długotrwały i kosztowny. Wyrzucanie doświadczonych pracowników to sabotowanie przyszłości branży, którą już dziś trawia problemy kadrowe i infrastrukturalne. Związkowcy jasno mówią, że jeśli restrukturyzacja będzie kontynuowana w obecnym tempie, za kilka lat polska kolej towarowa może przestać istnieć.

Leszek Miętek, przewodniczący Związku Zawodowego Maszynistów Kolejowych, podkreśla: „Tysiące osób związanych z realizacją przewozów kolejowych jest zwalnianych z pracy, natomiast przewozy na drogach rosną”.

Pamiętacie jeszcze hasło ekologów „TIR-y na tory” – slogan na tyle nośny, że PiS wpiisał go do swojego programu wyborczego? Pomysł poszedł się jebać w konfrontacji z lobby polskich przewoźników, którzy mają blisko 30 proc. rynku w UE.

Nic dziwnego więc, że udział PKP Cargo w przewozach kolejowych w 2015 r. wynosił 55,7 proc. rynku, a w 2023 już tylko 33,5 proc.

Tymczasem na torach zostali tylko oni: maszyniści, konduktorzy, manewrowi i pracownicy bocznic. Ci, których wyrzucono z pędzącego pociągu restrukturyzacji. Dźwigali przez lata ciężar tej kolejowej fabryki, a teraz zostają bez roboty. Minister Klimczak zaś obiecuje, że spółka się odrodzi. Być może trochę ludzi się zwolni, ale miejsca w spółce dla kolegów z PSL się przecież znajdują.

Związki zawodowe – OPZZ, Solidarność i Związek Zawodowy Maszynistów Kolejowych – nie zamierzają

siedzieć cicho, gdy cały sektor pędzi w kierunku ślepego toru. Domagają się natychmiastowego wstrzymania zwolnień. Żądają pełnego, niezależnego audytu działalności zarządu – nie po to, by się nad nim poznęcać, ale żeby w końcu ktoś pokazał czarno na białym, kto i kiedy wykoleił tę spółkę.

Związkowcy chcą również natychmiastowego ujawnienia średnio- i długoterminowej strategii PKP Cargo – jeśli takowa w ogóle istnieje. Bo nie da się ratować firmy, której plany są pilniej strzeżone niż dane Pegasusa. Apelują także o powołanie międzyresortowego zespołu kryzysowego z udziałem ministra infrastruktury, ministra aktywów państwowych i przedstawicieli strony społecznej. Takiego, który zamiast pisać komunikaty o „potrzebie dialogu”, usiądzie i zacieśnie ten dialog prowadzić – zanim na torach zostanie już tylko rdza.

Co więcej, postulują także zatrzymanie sprzedaży majątku spółki – lokomotyw, wagonów, bocznic – oraz zawieszenie „przeglądu zatrudnienia” na czas rozmów. Bo trudno negocjować, gdy z tyłu głowy siedzi myśl, że właśnie likwidują swoje stanowisko. Wreszcie: domagają się publicznego potwierdzenia, że państwo polskie wciąż traktuje transport kolejowy jako strategiczny filar gospodarki, a nie piąte koło u wozu, które można oddać na złom.

Nie chcą cudów. Chcą tylko, by ktoś im przestał rzucać pod nogi podkłady.

Bo PKP Cargo to nie jest tylko tabela w Excelu z ujemnym bilansem. To realna sieć powiązań gospodarczych, tysiące miejsc pracy, rodziny i całe regiony oparte na kolei. A gdy ta sieć się rwie, rwie się coś więcej niż tylko torowisko. Zostaje człowiek. Sam, na pustym torze. Bez lokomotywy, bez biletu. I bez nadziei, że ktoś po niego wróci.

W obronie PKP Cargo głos zabrało także Ostatnie Pokolenie – młodzi aktywiści, którzy od lat walczą o klimatyczną sprawiedliwość (bezsensownie blokując drogi w stolicy, ale cóż...).

Dla nich sprawa kolei to nie tylko walka o miejsca pracy, lecz także o przyszłość planety. Ostro domagają się zatrzymania masowych zwolnień i zaprzestania wyprzedaży taboru, które podkopują fundamenty ekologicznego transportu. Wzywają rząd do realnych inwestycji w kolej, jako kluczowy element walki ze smogiem i globalnym ociepleniem. Ich wsparcie dla protestujących związkowców to jasny sygnał: PKP Cargo to nie tylko biznes, to linia frontu klimatycznej i społecznej sprawiedliwości. A jeśli państwo nadal będzie udawać, że problemu nie ma, to oni zrobią wszystko, by je obudzić. A przynajmniej będzie ktoś, kto zgasi światło.

DAMIAN DUSZCZENKO

0 legalnych złodziejach

Optymalizacja podatkowa kontra podatek globalny

Włamywacze, kieszonkowcy, uliczni bandyci, a nawet przebiegli oszuści nie mają łatwego życia. Przeciwnie, bardziej czy mniej ugodnie, działa państwo. Państwo stworzyło prawo karne i aparat egzekucji tego prawa: policję, prokuraturę, sądy i więzienia. Działa to tak, jak działa – ale jednak spore ryzyko dojmującej kary wisi nad każdym, kto kradnie.

Ale nie, nie! Nie nad każdym. Żle napisałam: ryzyko kary wisi nad każdym zwykłym złodziejem czy pospolitym bandytą. Ze złodziejstwem klasy premium kapitalistyczne państwa nie walczą.

Każdy słyszał na pewno o „optymalizacji podatkowej”. To nowomowa, jaką próbuje się zastąpić pojęcia kradzieży, które byłyby wystarczające dla opisania tej sytuacji – gdyby nie fakt, że owe kradzieże odbywają się w świetle prawa legalnie. Kradzież, o której mówię, to wynik transgranicznych operacji wielkiego biznesu. Kapitalizm światowy, poza licznymi i nieskutecznymi działaniami pozornymi, nie stworzył praw, które uniemożliwiłyby wielkiemu biznesowi – perfekcyjnym złodziejom klasy premium – legalne okradanie zwykłych obywateli. Przypadek? Nie sądzę.

Bo przecież do prywatnych kieszeni bogaczy wykradane są pieniądze, które wpłacamy jako podatki; ich zdecydowana większość pochodzi wszak z naszych skromnych rodzinnych budżetów (VAT, PIT). System powoduje, że gospodarstwa domowe muszą uczciwie płacić podatki i nie mają możliwości ich unikania, a największe firmy na świecie mogą legalnie je omijać.

Raport State of Tax Justice (STJ) z 2023 r. pokazuje, że straty państw OECD w wyniku różnych rodzajów transgranicznego unikania opodatkowania podatku firmowego CIT i osobistego PIT wynoszą 480 mld dol. rocznie. To oszacowanie obejmuje tylko tzw. legalną optymalizację i nie uwzględnia operacji nielegalnych, np. przekrętów na VAT. Jestem przekonana, że dane wskazane przez STJ mogą być zdecydowanie niedoszacowane, bo przecież nie obejmują także danin, które powinny być przez

rządy uchwalane, a nie są – jak choćby podatek dla big techów (Meta, Alphabet, Apple itp.) od zysków, jakie generują w krajach takich jak Polska.

Nikt nie lubi być okradany. Więc jeśli wkurzyłaś/eś się tą opowieścią, to dla poprawy nastroju opowiem Ci bajkę.

Wyobraź sobie, że dostałeś spadek po ciotce z Ameryki. Słodka ciotka zostawiła Ci fabrykę czekolady. Twój rynek to cały świat – czekoladę lubią wszyscy. No ale przecież nie lubisz płacić podatków. Więc nie martw się: bajka Ci opowie, jak możesz stać się tak zwanym szanowanym przedsiębiorcą – czyli perfekcyjnym złodziejem.

W tym celu udajesz się do raju – rajy podatkowego. Do najbardziej znanych rajów podatkowych należą: Kajmany, Bahamy, Andora, Szwajcaria, Luksemburg czy Irlandia. I niech Cię nie dziwi, że Irlandia i Luksemburg należą do Unii Europejskiej, a Kajmany do Wielkiej Brytanii. Rajy podatkowe to państwa oferujące bardzo korzystne lub zerowe warunki podatkowe, niskie opodatkowanie dochodów pochodzących z zagranicy i tajemnicę bankową. Tam zakładasz spółki córki – czyli kontrolowane przez Ciebie firmy. Jedną z nich, np. tę z Luksemburga, czynisz właścicielem patentu na produkcję twojej najchętniej kupowanej czekolady. Drugiej powierzasz zakupy kakao, oleju palmowego i innych komponentów do Twojej produkcji. Teraz możesz już lokować produkcję Twojej czekolady, gdzie tylko chcesz na świecie – np. w Polsce. Przez swoją spółkę córkę na Kajmanach kupować będziesz np. kakao po cztery dolary za kilogram, a sprzedawać będziesz swojej fabryce w Europie za osiem. Drogie kakao spowoduje, że w Polsce zysk będzie znikomy, podatek minimalny, a główny, stuprocentowy zysk będzie pojawiać się w Twojej spółce na Kajmanach. Jeśli by jakimś cudem zysk zaczął pojawiać się także w Twojej polskiej firmie i groziłoby to koniecznością zapłaty podatku, to przecież ustalisz opłatę licencyjną za użycie przez nią patentu na czekoladę, którą polski zarząd fabryki zapłaci do Luksemburga. Proste?

A zatem i Ty możesz stać się perfekcyjnym złodziejem, o ile los da Ci dostęp do poważnej kasy. Ale jeśli nie masz na to ochoty, bo po prostu jesteś przyzwoitym człowiekiem, to wiedz, że

dobrzy ludzie już wymyślili, jak temu złodziejstwu zaradzić. Jednak skorpumpowanym politykom brakuje rozumu i woli, by wprowadzić przepisy, które ukróć ten paskudny proceder. A przecież to też bardzo proste.

Istnieją koncepcje i idee, które mogłyby radykalnie zmienić tę sytuację.

Jedną z najbardziej obiecujących koncepcji jest globalny podatek minimalny dla dużych międzynarodowych korporacji. Świat – czy choćby tylko nasza Unia Europejska – wprowadza prawo, że żadna wielka firma nie ma prawa zapłacić w danym państwie mniej niż, powiedzmy, 15 czy 20 proc. podatku. Ucieczka do podatkowych rajów straci sens. Inną koncepcją mogłoby być wprowadzenie opodatkowania proporcjonalnego do rzeczywistej działalności gospodarczej danej korporacji. Urzędy skarbowe oceniałyby sprzedaż, wartość aktywów i wynagrodzenia pracowników. Takie podejście znacznie utrudniłoby przenoszenie zysków do rajów podatkowych, ponieważ opodatkowanie byłoby powiązane z fizyczną obecnością i faktyczną działalnością.

Wśród skutecznych metod walki z „optymalizacją podatkową” można by przyjąć zasadę ujawniania i publicznego raportowania, kraj po kraju,



kluczowych danych działających w poszczególnych krajach firm albo po prostu wprowadzenie wspólnych (np. dla całej UE) przepisów podatkowych.

I jeszcze jedno: tradycyjne zasady opodatkowania nie nadążają za rozwojem gospodarki cyfrowej, w której firmy generują zyski na danym obszarze bez fizycznej obecności w danym kraju. Podatek od usług cyfrowych rozwiązywałby ten problem. Oczywiście tak można. Trzeba jedynie chcieć!

Wprowadzenie tych koncepcji wymagałoby jednak znaczącej woli politycznej i współpracy międzynarodowej – i stanowiłoby fundament pod budowę sprawiedliwszego i efektywniejszego międzynarodowego ładu gospodarczego oraz społecznego. Jest słaba nadzieja, że przyjdzie czas, iż państwa i organizacje międzynarodowe, jak Unia Europejska, zaczną działać w interesie zwykłych ludzi. Ale to kolejna bajka, którą przecież jednak warto opowiadać.

ANNA GRODZKA

„Był piękny poranek. Słońce świeciło. Wszystko tam na dole było jasne – bardzo, bardzo jasne. Można było zobaczyć miasto z odległości 50 mil, przecinające je na pół rzeki, punkt celowania. Wszystko było jasne jak słońce. Było idealnie. Idealna misja” – wspominał po latach Theodore „Dutch” Van Kirk, nawigator bombowca B-29, który 6 sierpnia 1945 r. rzucił bombę atomową na Hiroszimę.

Chłopczyk i Grubas

Od początku atak na Japonię miał mieć wymiar psychologiczny i być świadectwem amerykańskiej potęgi. Na płycie postojowej lotniska na pacyficznej wyspie Tinian bombowiec, nazwany imieniem matki pilota Paula Tibbetsa, „Enola Gay”, był oświetlony reflektorami, a wszędzie byli dziennikarze i fotografowie. „Wyglądało to jak premiera hollywoodzka” – mówił pisarzowi Stephenowi Walkerowi Van Kirk.

Armii USA zależało na jak najbardziej spektakularnym efekcie psychologicznym, rzuceniu Japonii na kolana, sterroryzowaniu wszystkich wrogów Ameryki. Hiroszima celowo była pomijana w nalotach, gdyż miała stać się poligonem doświadczalnym zbadania, jak zadziała bomba atomowa. Miasto było otoczone ze wszystkich stron górami, co jeszcze spotęgowało efekt wybuchu. Mieszkało w nim 350 tys. ludzi, miało na tyle duże znaczenie wojskowe, że można było jakoś uzasadnić jego zagładę.

Trzy dni później zaatakowano bombą jądrową Nagasaki. Do dziś toczą się spory historyków, ile ofiar pochłonęły bomby zrzucone na Hiroszimę (zwana „Chłopczykiem” – „Little Boy”) i Nagasaki („Grubas” – „Fat Man”). Może było to 200 tys. ludzi, może więcej.

Szybko okazało się, że kolejne kraje, Związek Radziecki, Chiny, Wielka Brytania i Francja – nie przez przypadek stali członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ, mający prawo weta w dziedzinie działań zbrojnych pod auspicjami międzynarodowymi – skutecznie pozyskały broń jądrową. Atom w służbie mordu zaczął być coraz groźniejszy, bardziej śmiertelny i potężny – aż po chwilę obecną, gdy arsenały nuklearne są wystarczające, aby kilkukrotnie zniszczyć naszą planetę.

Z jednej strony mocarstwa atomowe przekonywały, że wojna jądrowa jest nie do wygrania i że należy za wszelką cenę jej unikać. A jednocześnie wciąż uznają, że trzeba rozwijać moc takich środków rażenia, a także szukają coraz szybszych, skuteczniejszych środków jej przenoszenia, fantazjując o ograniczonym konflikcie atomowym, którym da się jakoś zarządzać, a najpewniej nawet odnieść w nim zwycięstwo. Zapomina się, że dążenie do przewagi strategicznej i wojownicza retoryka częściej prowokują, niż powstrzymują przeciwników.

Zimnowojenny taniec na ostrzu noża

Nie od dziś wiadomo, że choć historia jest nauczycielką życia, to piszą ją zwycięzcy. Stąd też upadek bloku wschodniego i koniec zimnej wojny opisywany jest zwykle jako zwycięstwo „wolnego świata”, a zwłaszcza wyścigu zbrojeń – tzw. wojen gwiazdnych – epoki prezydenta Reagana. Otóż równowaga strachu, wzajemnego pewnego zniszczenia – po angielsku jej skrót jest tożsamy ze słowem „szalony” (MAD – *mutual assured destruction*) – została zaburzona, a Związek Radziecki nie był już w stanie dotrzymać kroku armii amerykańskiej, nie mogąc skutecznie odpowiedzieć na atak nuklearny, więc się ze złości rozpadł...

Gówny prawda.

Od jakiegoś czasu co bardziej dociekliwi historycy, opierający się na odtajnionych aktach radzieckich, kreślą inny obraz. Otóż

Gorbaczow przypuszczał, że całe te wojny gwiazdne to kino hollywoodzkie klasy B (którego Reagan za młodu był przedstawicielem), lecz obawiał się, że USA uwierzą we własną propagandę i zdecydują się zaatakować, licząc na bezkarność.

Wróćmy jednak do zimnowojennego wyścigu zbrojeń atomowych, budowy bezprecedensowo silnej bomby wodorowej i kryzysu kubańskiego w 1962 r., który nieomal nie zakończył się wymianą ciosów jądrowych między mocarstwami.

Richard Ned Lebow, niekwestionowany autorytet w dziedzinie najnowszej historii wojskowości, na łamach czasopisma naukowego „International Relations” trzy lata temu opisał „nuklearne przekleństwo”. Przekleństwo, bo wady broni atomowej przeważają zdecydowanie jej zalety, a zbrojenia nuklearne same tworzą zagrożenia, którym mają zapobiegać, lecz są



niezbyt przydatne, aby rozwiązywać stworzone przez siebie problemy.

Groźne fantazje przywódców

Kryzys kubański, zapoczątkowany rozmieszczeniem przez ZSRR na rządzonej przez Fidela wyspie pocisków balistycznych średniego zasięgu, które mogły sięgnąć USA, pokazał nędzę doktryny odstraszania. Tym, co było skuteczne, była amerykańska blokada morska Kuby, a nade wszystko dyplomacja, ale i tak świat stanął na krawędzi wojny atomowej. Uniknięto jej, bo przywódcy ZSRR Chruszczow i Ameryki Kennedy za wszelką cenę chcieli zapobiec hekatombie.

Po latach doskonale wiemy, że politycy mieli tendencję – co jest chyba ich chorobą zawodową – do zdecydowanego przeceniania własnej mądrości i sprytu, nie rozumieli zbyt dobrze swoich przeciwników, unoszeni falą wydarzeń fantazjowali o ich kontrolowaniu, nie do końca też zdawali sobie sprawę z poczynań wojskowych, odpowiedzialnych za incydenty, które mogły się skończyć katastrofalnie.

Serhii Plokhyy w wydanej w 2021 r. książce o kryzysie kubańskim zwraca uwagę na to, jak nieodpowiedzialnie zachowywali się Chruszczow i Kennedy w okresie poprzedzającym go, jak wyolbrzymiali swoją kontrolę nad siłami zbrojnymi, jak przesadnie reagowali na incydenty, o których się dowiedzieli.

Doskonale pokazuje to zachowanie amerykańskiej marynarki wojennej. Radziecki okręt podwodny B-59 został zmuszony do wynurzenia się z powodu słabych akumulatorów i rosnącej temperatury. Okręty US Navy osaczyły go, wycelowały w niego swoje działa i próbowały oślepić reflektorami, został też ostrzelany z samolotu, który przeleciał 10–15 metrów nad łodzią podwodną. Kapitan okrętu Walentyn Sawicki pomyślał, że może już wybuchła wojna, a – zgodnie ze swymi rozkazami – w przypadku nieuchronności ataku dowódcy łodzi podwodnych powinni pierwsi wyrzucić torpedę nuklearną. Tak by się stało, lecz los chciał inaczej: Sawicki nakazał zanurzenie i przygotowanie do ataku, lecz nie mógł zejść z kiosku, bo zatrasował go tymczasowo otępy oficer sygnalizacyjny. A na pokładzie na szczęście był kapitan Wasilij Arhipow, który zmiłgował Sawickiego.

Co ciekawe, gdy politycy często marzyli o ograniczonym teatrze działań z użyciem broni atomowej, najwyżsi rangą wojskowi wyznawali zasadę: albo grubo, albo wcale. I żądali – zwykle skutecznie – coraz potężniejszej broni, absurdalnie rozszerzając listę celów.

Warto pamiętać, że w okresie zimnej wojny to nie radzieckie, lecz amerykańskie pociski wodnorowe obrałyby za cel Polskę. Wiele wskazuje na to, że liderzy ZSRR nigdy nie myśleli o dokonaniu pierwszego uderzenia jądrowego, toteż cały rozwój jądrowego potencjału militarnego USA był równie niepotrzebny, co prowokujący.

89 sekund do armagedonu

Nie ulega wątpliwości, że Hiroszima i Nagasaki przyspieszyły kapitulację Cesarstwa Japonii. Równie pewne jest, że gdyby jej nie użyto, azjatyckie imperium i tak by się wkrótce poddało. Monopol atomowy USA był krótkotrwały i nie przyniósł tej superpotęgze żadnych realnych korzyści.

Co roku uczeni z „Bulletin of the Atomic Scientists” aktualizują tzw. zegar zagłady, przestzegający przed końcem ludzkości. W tym roku jest on ustawiony na 89 sekund przed północą, co w znaczącej mierze – obok kryzysu klimatyczne-

go i sztucznej inteligencji – wiąże się z ryzykiem nuklearnym. Świat, wedle znamienitych akademików, jest najbliższej zagłady w dziejach.

Zegar został stworzony w 1947 r. przez naukowców z Chicago w trakcie zimnowojennych napięć, które nastąpiły po II wojnie światowej, aby ostrzec opinię publiczną, jak bliskie jest unicestwienie naszego gatunku. Daniel Holz, przewodniczący rady ds. nauki i bezpieczeństwa „Biuletynu”, podkreślał, że wojna w Ukrainie to ogromne źródło zagrożenia nuklearnego. Konflikt ten może eskalować, nie sposób wykluczyć użycia broni jądrowej: czy to w sytuacji podjęcia pochopnej lub błędnej decyzji, czy to przez przypadek. Putin w listopadzie zeszłego roku obniżył próg użycia broni atomowej w odpowiedzi na ataki konwencjonalne. Rosja ma najpotężniejszy arsenał nuklearny na świecie. W przyszłym roku wygasa rosyjsko-amerykański układ o redukcji zbrojeń strategicznych, ograniczający zasoby broni jądrowej każdej ze stron.

Wydatki na zbrojenia jądrowe w skali świata rosną. Broń nuklearna jest znowu sexy. Ochochodzą nieuchronnie, nieubłagany prawem biologii, pokolenie pamiętające szok, jakim dla ludzkości były Hiroszima i Nagasaki. Potężni politycy, a może raczej politykierzy, są dumni, że mają czerwone guziki, mogące uruchomić globalną hekatombę, wymazując z mapy całe kontynenty.

Najgorsze, że dla niektórych państw broń atomowa jest polisą bezpieczeństwa. Zbrodniczy reżim Kimów grozi Ameryce raketami, aby odstraszyć ją przed atakiem na Koreę Północną. Niejeden dyktator wyciągnął jedyne logiczne wnioski z upadku pułkownika Muammara al-Kadafiego, który – chcąc poprawić stosunki ze Stanami Zjednoczonymi – zrezygnował z budowy atomówek. Parę lat później USA obaliły go. Gdyby miał arsenał atomowy, zapewne amerykańscy wojskowi trzy razy by się zastanowili, zanim podjęliby decyzję o atakach lotniczych, które rzuciły reżim libijski na kolana.

Ups...

Oczywiście nie sposób wykluczyć, że koniec świata, jaki znamy – lub w ogóle koniec naszego gatunku – nastąpi w wyniku obłąkańczej decyzji jakiegoś polityka, który rozmyślnie rozpęta nuklearną hekatombę. Lecz znacznie bardziej prawdopodobny jest inny scenariusz: błądzić jest nie tylko rzeczą ludzką, ale zdarza się i algorytmom. W epoce broni hipersonicznej, pędzącej z prędkością 10 tys. km na godz., jesteśmy codziennie o krok od ostatecznego końca.

Znamienity historyk wojskowości Martin Sherwin opisał w jednej ze swych książek sytuację, o której niesłusznie milczą podręczniki. Otóż w szczycie kryzysu kubańskiego, 27 października 1962 r., 873. Dywizjon Raket Taktycznych na Okinawie omyłkowo otrzymał rozkaz wystrzelenia 32 pocisków manewrujących w wyznaczone cele radzieckie i chińskie. Każda z rakiet posiadała głowicę o mocy 1,1 megatony. Kapitan William Bassett z przerażeniem odkrył, że otrzymał kody, które wymagały od niego wystrzelenia czterech pocisków manewrujących. Doświadczony oficer Bassett nie wykonał bezmyślnie rozkazu – wysłał nawet dwóch żołnierzy, którzy mieli zastrzelić młodszego oficera startowego, gotowego odpalić rakiety, gdyby ten rozpoczął atak – zażądał ustnego potwierdzenia rozkazu wystrzelenia od dowodzącego majora. Major wycofał rozkaz.

Francuski filozof Jean-Paul Sartre miał rację, że Hiroszima zwiastuje nową epokę w dziejach człowieka. Od tej pory nasze istnienie to efekt nie biologicznej determinacji, lecz świadomej decyzji gatunku.

Jeśli ludzkość ma przed sobą jakąkolwiek przyszłość, a jednocześnie następuje jakikolwiek postęp moralny, w przyszłości arsenały nuklearne będą świadectwem idiotyzmu i moralnej nędzy przodków. Jak pisze Lebow, dotąd mieliśmy szczęście i unikaliśmy armagedonu. Ale pewnego dnia może się ono skończyć...

ZUZANNA JURCZYŃSKA

REKLAMA

Rzeź na Woli
Nieukarane ludobójstwo

Włodzimierz Zielicz
Młodzi polscy matematycy
podbijają świat

Waldemar Dąbrowski
Kultura to nie tylko opera

Wojciech Kuczok
Polskie kluby przestały
„myśleć Pobierzem”

tygodnikprzeglad.pl

Można być najsilniejszą kobietą świata, ale na działaczy nie ma mocnych.

Widziałem na antenie Eurosportu, jak 22-letnia Polka Agata Sitko wygrywała w Sheffield zawody w trójbój siłowym. Ta drobniutka, ale muskularna dziewczyna przy pełnych trybunach triumfowała w zawodach uznawanych za Ligę Mistrzów. Razem z nią słuchałem odgrywanego na jej cześć Mazurka Dąbrowskiego. Nawet nie wiedziałem, że mamy w kraju taką siłaczkę.

Tyle, ile waży, razy cztery

Trójbój siłowy to sport i bardzo nowy, i starodawny zarazem. Już w starożytności mocarze popisywali się ciężarami, które potrafili dźwigać, nie sądząc jednak, aby było to w jakis konkretny sposób ujęte w regulaminach. Początki trójbój, w którym mistrzostwo osiągnęła Polka, datować trzeba na lata 60. minionego wieku, a jego kolebką była Anglia. Jak sama nazwa wskazuje, dyscyplina składa się z trzech konkurencji. Są to: przysiad ze sztangą, wyciskanie sztangi leżąc na ławeczce i martwy ciąg – czyli podniesienie sztangi z pomostu aż do wyprostowania grzbietu. Każda z konkurencji opisana jest szczegółowo w przepisach i ich naruszenie powoduje niezaliczenie podejścia. Podczas mistrzostw, o których piszę, prawidłowość podejść najczęściej oceniali trzy panie w pantoflach na wysokich obcasach, ale nie wiem, czy to przypadek, czy też kolejny etap feminizacji sportu.

Trójbój siłowy ma swoich fanów, głównie w Europie Zachodniej i w USA. Wędrują z zawodów na zawody, bezbłędnie znają się na wszystkich niuansach. Organizowane są komercyjne mityngi, pozwalające siłaczkom i siłaczom nie tylko przeżyć od pierwszego do pierwszego, ale przyzwycię zarobić na morderczych treningach i demonstrowaniu swojej siły. Coś podejrzewam, że tu tkwi prawdziwa przyczyna konfliktu między naszą mistrzynią a Polskim Związkiem Kulturytyki, Fitness i Trójbój Siłowego, bo wszędzie, gdzie pojawia się kasa, ludzie lubią skakać sobie do oczu. Ale o tym za chwilę.

Agata Sitko ma 158 cm wzrostu, waży 63,4 kg. Podnosi w przysiadzie 207,5 kg, leżąc na ławeczce wyciska 150 kg, a w martwym ciągu podrywa z pomostu sztangę ważącą 255 kg. Jest rekordzistką świata w swojej kategorii wagowej (poniżej 69 kg); rekordy, najczęściej własne, biła tak często, że pewnie sama nie pamięta, ile razy.

Dlaczego można mówić o Polce jako o najsilniejszym człowieku świata, bez podziału na płcie (a nawet pucie)? W trójbój istnieje nieskomplikowany przelicznik podniesionego ciężaru do masy ciała. Nikt na świecie nie ma lepszego współczynnika od Agaty!

Ciekawostka. Oprócz zawodów w trójbój siłowym odbywają się czasem zawody wyłącznie w wyciskaniu sztangi leżąc na ławeczce. Tu nie ma podziału na kategorie wagowe, stosuje się tylko przelicznik. Pamiętam – choć było to bardzo dawno – zamieszanie, jakie wprowadził siłacz z amputowanymi nogami. Była to delikatna sprawa. Z jednej strony trudno dyskryminować osobę niepełnosprawną, z drugiej – po zastosowaniu wspomnianego przelicznika nikt z nim nie miał szans. Zdaje się, że w końcu zabroniono mu startów, argumentując, że pełnosprawni nie mogą brać udziału w igryskach paraolimpijskich, a to działa w obie strony.

Dobra zawodniczka, ale niezrzeszona

Bohaterka naszej opowieści zadziwiała już jako juniorka. Jednym z najbardziej prestiżowych występów trójboistów jest udział w World Games. To

coś na kształt igrzysk olimpijskich, ale w dyscyplinach, których nie zaprasza się do największej sportowej imprezy czterolecia. Pamiętam World Games organizowane we Wrocławiu w 2017 r. szeroko transmitowane przez telewizję Polsat. Mogliśmy się przekonać, jak fajna to impreza, rozmiarami ustępująca tylko letnim igrzyskom olimpijskim. Agata Sitko nie mogła oczywiście jeszcze w niej występować, ale podczas World Games w 2022 r. zdobyła złoty medal, mimo że była dopiero juniorką. Niech zawodniczka i Czytelnicy mi wybaczą, że nie zaprezentuję pełnej listy jej sukcesów, ale jest ona tak długa, że można się w tym pogubić. Zapewniam tylko, że lista ta potwierdza, iż Polka jest najsilniejszą kobietą świata, a po zastosowaniu wspomnianego przelicznika – najsilniejszym człowiekiem na kuli ziemskiej.

Wydawałoby się, że na kogoś takiego będą w kraju chuchać i dmuchać, macierzysty związek sportowy otoczy go wszechstronną opieką – w końcu w nie tak wielu dziedzinach jesteśmy najlepsi na świecie. Nic z tego.

Zamiast odznaki za zasługi dla kultury fizycznej Agata Sitko dowiedziała się, że odebrano jej licencję zawodniczą i na kolejne World Games, które odbędą się w sierpniu w chińskim Chengdu, nie pojedzie, bo niezrzeszonych tam nie przyjmują. Gorzej, o nową licencję starać się będzie mogła dopiero za sześć miesięcy, najsilniejszą Polkę ominie więc kilka innych ważnych imprez. Trudno jej się z tym pogodzić, bo poza wszystkim innym ona z tego żyje.

Podczas zawodów Agacie towarzyszył zwykle trener Paweł Jurczyński i dotychczas nikomu to nie przeszkadzało. Warto podkreślić, że podczas rywalizacji w trójbój siłowym rola trenera jest bardzo istotna. Nie tylko obserwuje występ zawodnika i poklepuje go po plecach po udanym podejściu. To on dysponuje ciężary, jakie zakładane mają być na sztangę, prowadzi rozgrzewkę przed startem i nadzoruje odpoczynek między podejściami. Najważniejsze – między trenerem i zawodnikiem musi być absolutne zaufanie.

Jeszcze w marcu wydawało się, że wszystko jest w porządku. Trener i zawodniczka dostali związane z wyjazdem do Chengdu dokumenty do wypełnienia. Zwrócili je do związku, bo to on załatwiał formalności, i spokojnie przerzucali żelastwo w sali treningowej.

Później dotarli do nich plotki, że zawodniczka oczywiście pojedzie na World Games, ale trener już nie. Głównym argumentem był fakt, że Agata Sitko i trener Paweł Jurczyński nie są członkami tego samego klubu. To prawda, ale przecież w żadnych przepisach nie powiedziano, że muszą być. W jednym z wywiadów przeczytałem, że działacz związkowy określił trenera Jurczyńskiego mianem „trenera komercyjnego”, który przykleja się do różnych zawodników, a w Chengdu nie będzie niezbędny, bo Agata nie pozostanie bez opieki. Troszczyć się będzie o nią trener kadry narodowej. Poza tym nigdzie nie napisano, że podczas mistrzowskich imprez zawodnicze musi towarzyszyć osobisty trener.

Bardzo pięknie to brzmi, ale trener kadry narodowej nie uczestniczy w przygotowaniach zawodniczek, nie zna jej organizmu ani możliwości. O wzajemny zaufaniu – powrócę do tematu – też nie wolno zapominać.

Sitko, Klepak, Żaba...

Gdy oficjalnie ogłoszono, że Jurczyński do Chin nie pojedzie, Agata Sitko stwierdziła, że ona też nie. Związek w odpowiedzi odebrał jej licencję zawodniczą. Na zasadzie: jak ty nam tak, to my tobie tak. Niech sobie gówniara nie myśli, że wszystko jej wolno.

Siłaczka



czas na najwyższym stopniu nie będzie słuchać Mazurka Dąbrowskiego, lecz – dajmy na to – „Boże chroń króla”.

Na dziś sytuacja wygląda następująco: World Games już przepadły, licencja Agaty Sitko nadal odebrana, trener i zawodniczka zastanawiają się nad wystąpieniem na drodze prawną przeciw działaczom związkowym.

Lubię wplatać do moich sportowych opowieści osobiste wątki. Będzie taki i tym razem. Mam swoją przygodę z wyciskaniem sztangi na ławeczce. Już pisałem, że w czasach dziennikarskiej pracy chodziłem do najlepszej, a może jedynej w PRL profesjonalnej siłowni, do warszawskiego klubu Herkules, gdzie dbałem o swoją kondycję psychofizyczną, przy okazji poznałem najlepszych wówczas kulturystów, a późniejszych, po zmianie ustroju, najgroźniejszych bandytów. Nie chodziło mi o żadne rekordy, w pewnym momencie coś mi jednak strzeliło do głowy, że muszę, leżąc na ławeczce, wycisnąć sztangę ważącą 100 kg. Trenowałem jak wściekły, wreszcie zgłosiłem gotowość. Podczas wszystkich prób wyciskania, zarówno na treningach, jak i na zawodach, zarówno amatorów, jak i zawodowców zawsze dwaj siłacze asekurowali leżącego na ławeczce, trzymając ręce pod sztangą, aby złapać ją, gdyby zaczęła spadać. Tak też było ze mną.

I co? I dałem radę. Głośni później z kryminalnych stron gazet Klepak i Żaba, którzy mnie asekurowali, niestety nie potwierdzą dzisiaj mojego osiągnięcia, bo wystrzelali się nawzajem z pistoletów w bandyckich porachunkach. Mam zresztą wrażenie, że obaj troszkę popychali sztangę, żebym mógł wyprostować ręce, ale ja miałem zamknięte oczy z wysiłku i tego nie widziałem. W każdym razie – niech nikt nie mówi, że znam trójbój siłowy tylko teoretycznie.

Walkower ministerstwa

Polski Związek Kulturytyki, Fitness i Trójbój Siłowego nie jest jakimś pojedynczym patologicznym zjawiskiem w naszym sporcie. W wielu związkach panuje – mówiąc ogólnie – bajzel, a działacze myślą o wszystkim, tylko nie o sportowcach.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Agata Sitko zmagala się z działaczami, podobną walkę toczyć musiała kolarka górską Paula Gorycka. Mistrzyni Polski nie pojedzie na mistrzostwa Europy. Reprezentacja naszego kraju pojedzie, ale bez Pauli.

Początkowo PZKol nie tłumaczył tej decyzji, później ustami dyrektora sportowego związku wyjaśniono, że Gorycka nie brała udziału we wszystkich konsultacjach i treningach kadry. To prawda, zawodniczka mieszka za granicą, tylko raz przyjechała na treningi (do dziś nie zwrócono jej kosztów podróży), przede wszystkim wzięła jednak udział w mistrzostwach Polski, które wygrała i spokojnie czekała na powołanie.

Wcześniej zapowiadano, że na mistrzostwa Europy pojedą zawodniczki, które wygrają wewnętrzne kwalifikacje, oraz mistrzyni Polski. Paula Gorycka ma na to dowody. Później zasady się zmieniły. Oficjalnego stanowiska władz związkowych Gorycka do dziś nie dostała, mogła się z nim zapoznać jedynie w mediach.

Wiem, że nasi zawodnicy nie mają dużych szans na medale – bo od czasów dwukrotnej wicemistrzyni olimpijskiej, a dziś działaczki MKOl Mai Włoszczowskiej nie mamy kim się pochwalić – ale jeśli ustaliło się jakieś zasady, to trzeba ich przestrzegać. Tego po prostu wymaga przyzwoitość.

Mam osobisty żal do prezesa związku kolarskiego Marka Leśniewskiego. Znałem go jako świetnego i mądrego kolarza, wiele sobie obiecywałem, gdy wygrał wybory i objął prezesurę PZKol. Marku (byliśmy po imieniu), zrób coś z tym! Jako kolarz zawsze dotrzymywałeś słowa, drużyna mogła na tobie polegać.

I w sprawie Agaty Sitko i Pauli Goryckiej jest już za późno, aby odwracać sytuację. Wcześniej, kiedy wszystko dopiero się zaczynało, powinno wkroczyć Ministerstwo Sportu. Cóż jednak poradzić, skoro ministrowie zajęci byli rekonstrukcją rządu, po której – nawiasem mówiąc – wyniki naszych zawodników wcale nie będą lepsze. Mogę się o to założyć.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta

Autorzy:

Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1-16 – 30.07.2025 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Co to jest? – Marszałek Szymon Hołownia podniósł brwi. Intuicja mówiła mu, że nie jest dobrze.

– Tantō – odpowiedział Michał Kobosko, jedyny eurodeputowany z Polski 2050, kładąc na biurku dość duży nóż, bynajmniej nie stołowy.

– Czyli?

– Miecz.

– Krótki jak na miecz – ocenił Hołownia. – Dla jakiegoż to małego rycerza ten miecz? – próbował żartować, ale głos mu drżał jak osika.

– Dla ciebie, Szymon – odparł Kobosko ponurym tonem.

– Miecze mi niepotrzebne. Moim orężem są słowa. Posługuję się nimi jak najlepszy fechtmistrz.

Co powiedziawszy, marszałek rozejrzał się czujnie jak ważka, spodziewając się jeśli nie podstępu, to przynajmniej jakiejś niemiłej niespodzianki.

– Boisz się czegoś? – zapytał Kobosko. – Kogoś?

– Umówiłem się z Kaśką Pełczyńską-Nałęcz.

– Na którą? – Kobosko spojrzał na smartwatch.

– Mam właśnie slot. Kaśka może się pojawić w każdej chwili.

– Dla niej też coś mam – skrzywił się eurodeputowany. – Wróćmy jednak do tego, co mam dla ciebie... – wrócił wzrokiem do tantō.

– Mówiłem, że nie potrzebuję miecza.

Hołownia pomyślał, że bez trudu mógłby odwrócić się na pięcie i uciec z gabinetu, ale czy ucieczka przystoi marszałkowi sejmu? Nie przystoi.

Kobosko milczał.

– Jeśli Kaśka przyjdzie, to będziesz musiał wyjść. – Hołownia chciał zagadać narastający strach. – Mam z nią do pomówienia. A to – dotknął miecza – lepiej weź ze sobą.

Kobosko nadal milczał.

– No to cześć. – Marszałek wyciągnął dłoń.

– Szymon, sytuacja jest poważna, nie da się jej lekceważyć – powiedział wreszcie eurodeputowany. – Tantō to miecz, dzięki któremu zachowasz honor. Jeżeli...

– Mój honor ma się dobrze bez tego żelastwa – przerwał Hołownia.

– Tantō służy do popełnienia seppuku, rozumiesz?

– Sep-pu-ku?

– Seppuku lub harakiri – potwierdził Kobosko. – Wyjdę teraz. Dam ci pół godziny. Jeśli mogę ci coś radzić, to nie dzwoń do żony. Ona zrozumie...

PRZEMYSŁAW CÍWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA jedzie do Gdańska na Festiwal Szekspirowski, a **JOANNA SENYSZYN** mija się z nią w drodze do Warszawy. Na szczęście 15 sierpnia spotkają się na zlocie ateistów w Spale.

– I co ty tam będziesz oglądać na tym festiwalu?

– A bo ja pamiętam?

– No chyba żartujesz!

– Poczekaj, sprawdzę. Otóż idę na „Makbeta” w wykonaniu Tiger Lillies, „Ryszarda III” z Bydgoszczy i „Leara” z Belgii. A może ze Szkocji? W każdym razie jestem pełna entuzjazmu. Choć odkąd zobaczyłam teatr szekspirowski w Londynie, ten gdański już mnie tak nie zachwyca.

– A czym się różnią?

– Klimatem. W Londynie byłam na „Śnie nocy letniej”, który mnie absolutnie zachwycał. Co mnie zdziwiło, bo nie znoszę komedii Szekspira, uważam, że to jakieś potworne ramoty i na pewno nie napisał ich ten sam facet co „Hamleta” i „Makbeta”. Tylko nie wiem, które pisał Marlowe, a które Szekspir... W każdym razie ten „Sen” zrobiony absolutnie precyzyjnie i równocześnie tak, jak był napisany.

– To znaczy?

– Śmiesznie. Serio, to było zaskakująco śmieszne. A do tego bajkowe, bo artyści wisieli z sufitu na takich elastycznych hamakach i wykonywali akrobacje w czasie dialogów. I jeszcze mi się podobało, że ci widzowie, którzy wykupili miejsca stojące, rzeczywiście, jak za czasów Szekspira, mogli sobie chodzić po całym parterze, oglądać akcję z różnych stron – a dużo się działo, ciągle tam wjeżdżały jakieś podesty, łózka, klatki. I było kilku – bo ja wiem – inspicjentów, którzy kierowali ruchem, pokazywali, kiedy i gdzie przejść, kiedy się cofnąć, kiedy ustąpić miejsca. A wiesz, co było najdziwniejsze?

– Co?

– To, że wszyscy ich słuchali. Nikt nie mówił „Ja tu stałem wcześniej” ani się nie awanturował...

– W Polsce to by się raczej nie udało.

– Raczej nie, tym bardziej że na scenę można wchodzić z drinkiem.

– Trochę ci zazdroszczę, bo nie tylko nigdy nie byłam na Szekspirze w Londynie, ale w Londynie też nie. Jakoś się nie złożyło. Kiedy byłam w Parlamencie Europejskim, a Wielka Brytania w Unii, nawet mnie kilka razy zapraszali na jakieś spotkania, ale zawsze coś stało na przeszkodzie. Za to kilka lat temu byłam w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim na absolutnie genialnym spektaklu, w którym grali aktorzy z teatru Biuro Rzeczy Osobistych. Są to osoby z niepełnosprawnością intelektualną. A grali fragmenty Szekspira



ra tak, że dech zapierało w piersiach. Był o tym film Iwony Siekierzyńskiej „Amatorzy”.

– Bardzo chciałabym ich zobaczyć. Nie jestem szczególnie wrażliwa...

– To akurat wiemy.

– Ale wobec wspaniałych rzeczy, które robią osoby z niepełnosprawnością intelektualną, jestem zupełnie bezbronna i za każdym razem mam łzy w oczach. Polecam pieroguszki, nawiasem mówiąc.

– A co to?

– Poduszki w kształcie pierogów szyte przez Cudowną Spółdzielnię Specjalną Honolululu z Katowic. Ja mam czerwoną oczywiście...

– Oczywiście.

– Ale są w rozlicznych kolorach, każdy sobie wybierze. Nie dość, że będzie miał uroczą poduszkę, to jeszcze wspomaga spółdzielnię, która naprawdę na to zasługuje.

– Chyba już kiedyś ci mówiłam o działającej od kilkudziesięciu lat na Warmii spółdzielni inwalidów produkującej czepki chirurgiczne. Od kiedy na linii produkcyjnej zaczęli zatrudniać osoby z niepełnosprawnością intelektualną, jakość wyrobów bardzo się poprawiła, bo normy są bezwzględnie przestrzegane. Nie ma żadnych oszukańczych kombinacji. Gdyby koalicjanci wzięli z nich przykład, inaczej wyglądałyby ich rządy i gabinet po rekonstrukcji.

– W tym miejscu aż się prosi o jakiś żart na temat sprawności intelektualnej ministrów, ale nie da się go wygłosić, nie obrażając osób z prawdziwym zaburzeniem rozwojowym.

– Też o tym pomyślałam. Więc bez żartów: Tusk obiecał redukcję liczby ministrów o połowę, a jest zaledwie o pięć mniej, czyli o 20 procent. Wciąż nie potrafią się dogadać w sprawie redukcji wicków. W dodatku na stanowisku została Nowacka, która jest najgorzej ocenianym ministrem. Poseł Cwik od Hołowni próbował to wyjaśnić, ale niezbyt fortunnie: „Każdy, kto łączy kropki, wie, dlaczego została”.

– I jeszcze dowalił: „Kto się interesuje polityką, niech łączy kropki”. Ja się interesuję, powiem ci szczerze, ale nie połączyłam. Czy on sugeruje, że Nowacka sypia z Tuskiem?

– Tak na pewno zinterpretowała to prawica, bo głodnemu zawsze chleb na myśli. Stygnącą aferę podgrzała sama Nowacka, żądając przeprosin dla swojej rodziny, rodziny premiera Tuska i szkoleń antydyskryminacyjnych dla wszystkich, którzy nie potępią posła Cwika. Niewykluczone, że nas zakwalifikuje i przymusowo przeskoli. Byłoby zabawnie, gdybyśmy się znalazły w grupie z Tuskiem, który akurat w tej sprawie nie daje Nowackiej wsparcia i słusznie milczy.

– Ja bym się chętnie znalazła w grupie z Tuskiem, bo bardzo chciałabym przyjrzeć mu się z bliska. Z tym facetem jest coś nie tak: jego absolutna odporność na rzeczywistość i totalny opór wobec wyciągania wniosków z własnych błędów muszą być osadzone w jakimś zaburzeniu. Może to upośledzenie zdolności niewerbalnego uczenia się?

– A co to?

– Proponowana jednostka chorobowa, niesklasyfikowana póki co w ICD-10 i DSM-IV. Acz powinna być, moim zdaniem. I na koniec: chcę cię zmotywować do większego impetu w zakładaniu partii. Brytyjskim przykładem. Otóż jak byłam w Londynie na początku lipca, to Jeremy Corbyn właśnie ogłosił, nieco wywołany do tablicy przez Zarę Sultana, że będzie zakładał partię. Również trzy tygodnie później jego partia – która nadal nie ma nazwy, aktualnie występuje pod kryptonimem „Twoja Partia” – przebiła 600 tys. deklaracji członkowskich. To jest powód, dla którego żałuję, że nie jestem poddaną króla, bo od razu bym się zapisała. Kiedyś żałowałam, że nie jestem Czeszką, ale ostatnio mi przeszło.

– Niby dlaczego? Większość to ateści ze wspaniałym poczuciem humoru...

– Też tak myślałam. Ale prawicę mają bardziej pojebaną od naszej. Prawacki czeski parlament niedawno przyjął ustawę, która zakazuje propagowania „nienawiści wobec klas społecznych”. Czyli jak powiem „zjadać bogatych”, to mogę iść do pierdła na pięć lat. A jak napiszę w gazecie – to na osiem.

– Grubo, ale przecież naprawdę nigdzie nie wyjedziesz, bo nie zostawisz „NIE” ani mnie.

– No nie. Zwłaszcza że skoro jestem w Polsce, mogę ci jeszcze opowiedzieć o towarzysze pszczole.

– Słucham uważnie.

– Kiedy indyjski miliarder odwalił kitę po polknięciu pszczoły podczas meczu polo, ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby zapytać szcudną inteligencję, jak internauci zareagowali na tę smutną wiadomość. Oto odpowiedź. Zrobiłam sobie zrzut ekranu, bo jest bezcenna: „Komentatorzy opłakują »Towarzystkę Pszczolę«, która umarła po tym jak została połknięta przez miliarda podczas meczu polo. Wielu chwali poświęcenie pszczoły, definiując je jako heroiczny akt przeciwko elicie bogaczy. Inni lamentują nad utratą cennego owada zapylającego i wyrażają podziw dla pszczoły, która jakoby wybrała sobie miliarda na cel”.

– Niech spoczywa w pokoju. Towarzyszka pszczoła oczywiście.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI